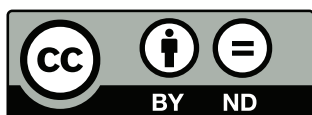


**Barbara Siedlecka**

# Pamiętam

**Bydgoszcz 2008**



Ten utwór objęty jest licencją Creative Commons Uznanie autorstwa-Bez utworów zależnych 3.0 Polska. Aby zobaczyć kopię niniejszej licencji przejdź na stronę: <http://creativecommons.org/licenses/by-nd/3.0/pl/>.

Pewne prawa zastrzeżone na rzecz autora publikacji.

Skład i opracowanie techniczne: *Agnieszka Kalota* [eBooki.com.pl](http://eBooki.com.pl)

**Sybiracy.pl**

**2012-07-15**



Barbara Siedlecka

# Spis treści

<b>Pińsk.....</b>	<b>4</b>
<b>Zalesie.....</b>	<b>7</b>
<b>Transport .....</b>	<b>9</b>
<b>Czulak Sandyk .....</b>	<b>11</b>
<b>Donskoje.....</b>	<b>16</b>
<b>Kima .....</b>	<b>25</b>
<b>Pani Karpaczowa .....</b>	<b>32</b>
<b>Ukraina .....</b>	<b>37</b>

## Pińsk

Moje rodzinne miasto Pińsk. Tam spędziłam pierwsze szczęśliwe lata dzieciństwa. Ryszard Kapuściński pisał tak: Wyruszając z małego drewnianego Pińska, można było opłynąć świat. Rzeczywiście rozbudowany system wodny rzek i kanałów, stanowił doskonale połączenie z morzem Czarnym i Bałtykiem. To nieco senne, kresowe miasteczko, przycupnięte na obu brzegach rzeki Piny, było stolicą Polesia, krainy pięknej, co tajemniczej i trochę posępnej. Rozległe bagna i moczary porośnięte wiekową puszczą, przecinały pajęczą siecią liczne ciekły wodne. Nad niezamrażającymi nawet zimą mokradłami, unosiły się zazwyczaj kłęby pary. Dziewicza przyroda nietknięta ręką człowieka, z unikalną roślinnością, rzadkimi okazami ptaków, to wła-



śnie Polesie. Ton Pińskowi nadawały stacjonujące tam dwa duże garnizony wojskowe. Rzeczna Flotylla Marynarki Wojennej i 84 Poleski Pułk Piechoty. W tym ostatnim służył mój Ojciec. Mieszkaliśmy na terenie koszar w pięknym suchym, sosnowym lesie. Pamiętam żywiczny zapach rozgrzanych słońcem sosen. Pińsk pamiętam dobrze od 1939 r. Wcześniej wszystko zostało zasnute mgiełką niepamięci. Pozostały tylko pojedyncze, nieliczne obrazy. A to powrót z jakiejś wielkiej wystawy. Ojciec niesie mnie na barana. Niedzielne obiady u dziadków, radość z białej, haftowanej w niebieskie kwiatki sukieneczki. Smak placków ziemniaczanych smażonych przez babcię. Dlaczego właśnie placki? Ostatnie dni pokoju. Wyczuwam atmosferę zdenerwowania i zagrożenia, ale i optymizmu, że jakoś to będzie. Przecież jesteśmy zwarci i gotowi. Nie oddamy nawet guzika od munduru. Ojciec z pułkiem wyjeżdża na front. Odprowadzamy Go na rampę. Nastrój jest podniosły. Żołnierze śpiewają wesołe i dziarskie piosenki. Ojciec długo stoi na stopniach wagonu, machając nam ręką na pożegnanie. Pociąg wolno rusza, przyśpiesza i ginie za zakrętem. Zostaliśmy sami na długie sześć lat.

Wojna do Pińska przyszła razem z hukiem nadlatujących samolotów. Niemcy bombardują koszary. Robią to systematycznie, kilka razy dziennie. Na dźwięk syreny obwieszczonej nalot, biegniemy w głąb pobliskiego lasu, aby schronić się w naprędce

wykopanych okopach. Odzywają się jeszcze umieszczone na dachach gniazda karabinów maszynowych, ale i one wkrótce zamilkną. Zdarzyło się kiedyś, że podczas wieczornego nalotu, Mama musiała wyciągnąć z kąpeli mokrego braciszka, owinąć go w kołdrę i w niebywałym pośpiechu uciekać.

Jeszcze od czasu do czasu jeździł tramwaj konny, który dowoził mieszkańców koszar do Pińska. Pewnego pięknego słonecznego popołudnia wracałyśmy z Mamą od dziadków. Byłyśmy jedynymi pasażerkami tego pojazdu. Przystanek końcowy, wysiadamy. Jesteśmy na leśnej polanie, na której stoi pomnik poświęcony pamięci żołnierzy poległych w wojnie 1920r. Wokół kwitną białe i czerwone róże, jest to miejsce szczególnie zadbane i piękne. Ciepłe wrześniowe popołudnie, pachnie żywicą, oraz kwiatami. Jednym słowem sielanka. I nagle na błękitnym, pogodnym niebie ukazuje się samolot dwupłatowiec. Zniża gwałtownie lot i zaczyna do nas strzelać. Kule odbijają się o zwirowane alejki, wzniecając fontanny piasku. Przelatując nad nami, robi skręt i zawraca. Lata tak nisko, że widzę głowę lotnika, w skórzanej pilotce i wielkich okularach. Wyraźnie się bawi, strzelając do matki z małym dzieckiem. Mama trzyma mnie mocno za rękę i chaotycznie biegamy to w jedną, to w drugą stronę. Co rusz potykamy się i upadamy na ziemię. Mamy zdarte poobijane kolana, krew spływa po nogach. Wreszcie lotnik chyba się znudził, albo zabrakło mu amunicji, bo odleciał. Obolałe pokrwawione, ale jakimś cudem żywe dowlokłyśmy się do domu. Życie w koszarach stało się niemożliwe. Zwłaszcza, że ludność białoruska z okolicznych wiosek zaczęła rabować mieszkania wojskowych. Dziadek przyjechał z Pińska dorożką i zabrał nas do siebie. Mogliśmy wziąć tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Resztę mieliśmy zabrać później.

Sowieci do Pińska weszli jakoś tak cichcem, prawie niezauważalnie. Ale rządy rozpoczęli bardzo głośno. Ciągłe ukazywały się jakieś zarządzenia, nakazy i obwieszczenia. Jednym z nich był rozkaz o przymusie zdawania wszelkiej broni, będącej w posiadaniu mieszkańców. Dla bezpieczeństwa Mama wzięła mnie z sobą, bo z dzieckiem może nie aresztują. Tak poniosłyśmy paradną szablę ojca. Enkawudzista bardzo mi się podobał, ponieważ miał ogromnie kolorowy mundur. Granat błękit, czerwień i złoto, przypominał trochę papugę, przynajmniej w moim mniemaniu. Oficer przyjrzał się dokładnie szabli, wyciągnął ją z pochwy i zrobiwszy kilka ruchów nad głową, powiedział: Wot krasota! Ale tanków, żeby strzelać do armii czerwonej, to nie mieliście. Gdzieś w połowie września, Pińsk obiegła wiadomość, że pędzą naszych. Kobiety chwyciły w pośpiech jakieś jedzenie. To, co było akurat pod ręką, czasami niosły całe garnki zupy, chleb, wodę i inne produkty. W centrum miasta odpoczywało kilkaset umęczonych, do granic wytrzymałości jeńców. Przeważali oficerowie, nie brakło także księży i cywili. Widok był porażający. Siedzieli tak w upale, na drewnianych chodnikach oparci o ściany budynków. Pot im spływał stróżkami po zakurzonych pliczkach, byli brudni, wyczerpa-

ni, spragnieni i głodni. Niektórzy mieli przymknięte oczy, jakby drzemali, inni tępo patrzyli przed siebie, strzępy ludzkiego istnienia. Wokół nich przechadzali się wartownicy i jakieś podejrzanе indywidua z czerwonymi opaskami na ramieniu. Widziałam jak jeden z tych typów, napluł żołnierzowi w twarz, mówiąc: skończyło się wasze, zaczyna się nasze. Kobiety rozdawały jedzenie, podawały wodę, wnosząc nieco ożywienia wśród tych otepiałych z cierpienia ludzi. Padły ostre rozkazy, kolumna ciężko podniosła się i wolno powłócząc nogami, skierowała się na wschód. Dokąd? Nie wiem. Może widziałam późniejsze ofiary Katynia?

Mimo niebezpieczeństwa, dziadek wynajął furmankę i pojechaliśmy do koszar, aby przywieźć resztę rzeczy. Mieszkanie zastaliśmy pozornie nietknięte. Po otworzeniu drzwi, ukazała się straszna prawda. Było ono kompletnie obrabowane. Ten widok, jak kilka innych utkwiał mi na stałe w pamięci. Widzę do dziś puste wnętrza, oraz leżący na środku kuchni wielki pusty słój po borówkach z gruszkami. W środku tkwił widelec, czyżby złodzieje wyżarli konfitury na miejscu. W salonie na podłodze znaleźliśmy pojedynczy, samotny buciczek. Ulubione przeze mnie czarno beżowe lakierki. Do mieszkania rabusie dostali się przez kuchenne okno, dostawiając uprzednio stopnie od zjeżdżalni z placu zabaw. Przepadło wszystko, zostaliśmy bez niczego.

Wkrótce do Pińska zaczął zaglądać głód. W tej sytuacji zostaliśmy zaproszeni na wieś, do Zalesia, gdzie wuj osadnik wojskowy, miał duży dobrze funkcjonujący folwark. Można nawet powiedzieć, że był to mały ziemski majątek. Opuściliśmy Pińsk, jednak nie na długo.

## Zalesie

Do Zalesia przyjechaliśmy na początku grudnia. Zastaliśmy je, już w zimowej szacie. Solidne drewniane zabudowania gospodarcze, duży parterowy dom, doskonale komponowały się z otaczającą je puszczą. Całe gospodarstwo mieściło się na rozległej polanie. Cisza i spokój przerywane jedynie porykiwaniem bydła, rżeniem koni, gęganiem domowego ptactwa i poszczekiwaniami psów. Wojny się tu się nie czuło, została jakby w tle. Jedzenia w bród, wszystko z własnego gospodarstwa. Dwaj nastoletni kuzyni byli bardzo weseli i robili różne psikusy, aby nam dzieciom umilić życie. Jeździliśmy saniami na spacer w głąb puszczy. Majestatyczne, olbrzymie drzewa iglaste drzemały zasypane śniegiem, aż po konary. Czystą biel śniegu, tu i ówdzie, przecinały tropy dzikich zwierząt.



Cisza, aż dzwoniło w uszach. Czasami tylko było słychać trzask pękających pod wpływem mrozu konarów. Święta Bożego narodzenia 1939 roku, ubieramy wielką choinkę przyniesioną prosto z boru. Najpierw wieszamy małe, czerwone, rajskie jabłuszka. Potem kolorowe pierniczki i cukierki, na końcu świecidełka, oraz długie łańcuchy. Takie drzewko objadało się długo. Ostatnia nasza wigilia miała zapach suszonych grzybów, świeżego ciasta, woskowanych podłóg i żywicznej choinki. Po wigilii kulig, taki prawdziwy z dzwoneczkami i pochodniami. Sanie wymoszczone baranicami, zaprzężone w parę koni czekały na podjeździe gotowe do drogi. A na dworze noc. Granatowe niebo rozjarzone gwiazdami. Wielki księżyc wiszący nad światem i zalewający wszystko zielono srebrną poświatą. Po obu stronach drogi czarna ściana lasu. Jesteśmy radośni i szczęśliwi. Kuzyni Henio i Broniek powożą saniami, od czasu do czasu wywracając je w przydrożne zaspę. Otrzeptywaliśmy się ze śniegu, gramoliliśmy z powrotem na sanie i dalej w drogę.

Wydawało się, że wojny nie ma, przynajmniej tu w Zalesiu. Ale ona była i dawała znać o sobie. Nocami przekradali się jacyś tajemniczy ludzie, pukali do okien prosząc o chleb. Nie wiadomo było czy to swój, czy wróg. Nie otwierało się drzwi, jedzenie

wyrzucało się oknem. Po czym ci, co przyszedli znikali równie niepostrzeżenie w mroku nocy.

Powoli kończył się szczęśliwy czas Zalesia. Choć trwał tak krótko, to pozostawił w mojej pamięci jasną smugę spokoju, bezpieczeństwa i pogodnego dzieciństwa.

Przyszedli po nas nad ranem. Łomotem kołb w drzwi oznajmili swoją obecność. Wyrwani ze snu siedząc w swoich łóżeczkach, płakaliśmy z braciszkiem w niebogłosość. Dorosli stali z rękami do góry twarzami do ściany. Po jakiejś chwili my też dołączyliśmy do nich. Dwoje małych dzieci w piżamkach z rączkami do góry, to obraz sowieckiego bestialstwa tamtych czasów. Krótkie odczytanie rozkazu, na podstawie, którego nas, jako groźny i niebezpieczny element przesiedlają na inne obszary Związku Sowieckiego. Dwie godziny czasu i sobierajsia. Okazało się, że nas z Mamą nie ma na liście. Nie pomogły jednak żadne tłumaczenia ani prośby wujka, aby nas nie zabierano. Zamilcz i pakuj się. Zaczęła się gorączkowa i bezładna bieżanina. Chwytało się akurat to, co było pod ręką, niekoniecznie rzeczy potrzebne. Ładujemy się do sań, my dzieci zostaliśmy otuleni pierzynami, by nie zamarznąć. A mróz był siarczasty tej zimy. Rozwidniało się. Na horyzoncie wstawał blady, zimny świt. Ruszyliśmy w drogę, kierując się w stronę Pińska. Długo słyszeliśmy smętne ryczenie bydła, wycie i ujadanie psów. Tak zwierzęta żegnały swoich gospodarzy, instynktownie wyczuwając nieszczęście. Mniej więcej w połowie drogi mieliśmy nocleg. Tak się szczęśliwie złożyło, że właśnie w tej wiosce mieszkała nasza dalsza rodzina. I to oni zaopiekowali się nami, przyjmując nas pod swój dach. Następnie korzystając z tego, że nie ma nas na liście do wywózki, zorganizowali nam ucieczkę. Udało się, wróciliśmy z powrotem do dziadków do Pińska na Lewkowską. Ale czy na długo? Wujostwo z kuzynami pojechali na północ w okolice Archangielska. Wujek Józio został tam na zawsze.



## Transport

Znowu u dziadków w Pińsku. Kończy się mroźna zima 1940 roku. Jest głodno i biednie. Żyje się w atmosferze strachu i niepewności. Przyjdą, czy nie przyjdą? Zabiorą, czy nie zabiorą? A jeżeli tak, to, kogo? Czy przeżyje się spokojnie jeszcze jedną noc? Ludzie się ukrywają, nie nocują w domu. W takiej atmosferze przeszły Święta Wielkonoce, chyba mało zauważone. Pamiętam tylko odwiedzanie grobów pańskich w kościołach.

Przyszli po nas 13 kwietnia, tuż po świętach, jak zwykle nad ranem. Przyszli nieco spokojniej. Oficer odczytał nakaz i sobierajście. Tym razem, to my z Mamą zagroziliśmy sowieckiej władzy i byliśmy elementem niebezpiecznym. Pomimo tego, że niby każdy wtedy już był przygotowany, że mógł się spodziewać najgorszego. Jednak jak przyszło, co, do czego to okazało się, że na taką sytuację nigdy nie jest się przygotowanym. Mama nieprzytomnie biegała od ściany do ściany, babcia lamentowała, a czas uciekał. Wówczas enkawudzista, może mający jakieś ludzkie uczucia, wyciągnął na środek pokoju wielki babciny kufer i kazał pakować ciepłe ubrania, pościel i bieliznę pościelową. Ta ostatnia niejednokrotnie miała uchronić nas od głodu. Stała się po prostu walutą wymienną. Do transportu było niedaleko kilkaset metrów zaledwie. Na rampie stał długi szereg bydlęcych wagonów i czekał. Czekał na nas, oraz nam podobnych. Było już widno, kiedy ładowano nas do wagonu. Mieliśmy szczęście, bo dostaliśmy miejsce na górnej pryczy, tuż przy oknie. Takim sposobem mogliśmy wyglądać na świat. Nie wiem, czy można było w tamtym czasie znaleźć drugą taką rodzinę, którą zabierano do transportu dwa razy. Wagony zapełniały się powoli. Staliśmy tak na rampie trzy dni. Wartownicy z bronią chodzili wzdłuż pociągu i pilnowali, aby nikt nie uciekł. Z dużym prawdopodobieństwem można mniemać, że był to ten sam transport, który jako dziecko obserwował Ryszard Kapuściński. Napisał o tym w Imperium. Rodziny nasze nieco ochłonawszy, wykorzystały czas postojów na przygotowanie i dostarczenie nam tego, czego nie zabraliśmy w pośpiechu. Przede wszystkim przynosili zapasy jedzenia. Dostarczali wszystko to, co nie mogło się popsuć. A więc kasze, mąka, worki chleba, topiony tłuszcz, a nawet pieczone kury. Wreszcie nadszedł dzień, kiedy ze zgrzytem zaryglowano drzwi i transport ruszył w nieznaną. Równomierny stukot kół, albo cisza długich postojów miały nam towarzyszyć przez długie tygodnie. Na początku nie było nawet ubikacji. Na postojach wartownicy wyprowadzali ludzi na pobocze torów i niejako na komendę kazali załatwiać potrzeby fizjologiczne. Zapewne było to szczególne upodlenie. Potem wycięto dziurę w podłodze i było trochę lepiej. Raz dziennie, z łoskotem odsuwali drzwi i podawali dwa wiadra wrzątku, oraz wiadro solonych śledzi. Nie pamię-

tam czy był tam również chleb. Może, dlatego, że akurat swojego chleba na razie mieliśmy pod dostatkiem. Nastroje w wagonie oscylowały od skrajnej rozpacz, poprzez rezygnację i depresję, aż do ataków histerycznego śmiechu. Dokąd nas wiozą? Co z nami będzie? Jaki los nas czeka? A może to już koniec. A transport jechał i jechał, zdawało się, że ta podróż nie ma kresu. Na długich postojach, wyglądając przez małe zakratowane okienko, obserwowaliśmy, miarowo przechadzających się wzdłuż wagonów wartowników. Pamiętam ich dokładnie. Zwyczajni żołnierze wyglądali nędznie. Wysłużony i obszarpany na dole szynel, na plecach płócienny worek, przewiązany sznurkiem, na ramieniu karabin z bardzo długim bagnietem, także na sznurku, no i czapka. Pamiętała ona zapewne jeszcze czasy rewolucji. Taki rodzaj filcowej pilotki, ze szpikulcem na czubku i naszytą wielką czerwoną gwiazdą. Jednego razu mój mały braciszek Andrzej wyrzucił przez okienko smoczek, z którym praktycznie się nie rozstawał. Wartownik nasadził go na ostrze bagnetu i podał do góry. Oto charakterystyczny obrazek tamtych dni: dwuletnie dziecko za kratami więziennego wagonu i żołnierz ze smoczkiem na bagnecie. Ktoś dowcipny nauczył małego Andrzeja, wołać do wartowników: towarzyszc daj kaszy. Najczęściej wygrażali mu za to pięścią. Wydawało się, że jedziemy bez końca, tylko zmieniające się za oknem krajobrazy mówiły, że to już obca i wroga ziemia. Gdzieś za Uralem staliśmy na niewielkiej stacyjce. Pootwierano nam drzwi od wagonów. Było już ciepło, czuło się w powietrzu wiosnę. Zieleniła się ziemia porośnięta karłowatymi brzoškami, przygrzewało słońce. I oto nagle spostrzegliśmy zbliżający się tłum. Ludzie ci szli, a raczej wlekli się w milczeniu. Kiedy byli bliżej zobaczyliśmy jak są wychudzeni. Istne szkielety, które w niemym geście wyciągały ręce, prosząc o chleb. Zobaczyliśmy na własne oczy głód, o którym się tylko dotąd słyszało. I oto my skazańcy wyrzucaliśmy całe bochenki jeszcze polskiego chleba. Nagle ci, co przyszli rzucili się na ziemię, aby walczyć między sobą o zdobyczny kęs jedzenia. Zaiste był to przerażający widok. Kiedy nieco minął stres, popadliśmy w czarną rozpacz. Oto stało się jasne, po co nas wiozą. Jedziemy na wyniszczenie i zagładę. W takich nastrojach dotarliśmy do celu. Kresem podróży stał się północny Kazachstan.

## Czułak Sandyk

Monotonny, usypiający łoskot kół towarzyszy nam, już od trzech tygodni. Raptem cisza. Cisza, która nas budzi. Zerwani ze snu oczekujemy na coś, co ma dopiero nadejść. Zbieramy swoje tobołki, pakujemy cały dobytek, bo podświadomie czujemy, że nadzedł kres podróży. Z oddali zaczyna dobiegać najpierw cichy, potem stopniowo narastający warkot motorów. Hałas odryglowywanych drzwi, wrzaski enkawudzystów, popychanie, szarpanie i wyrzucanie bagaży. Ciemno, bałagan oraz niesamowite zamieszanie. Ładujemy się na ciężarówki i rozjeżdżamy w różne strony. Jedziemy w ciemnościach, nie widomo dokąd, nie widomo dlaczego i nie wiadomo za co. Świta. Na razie krajobraz piękny. Północny Kazachstan, jeszcze wtedy lesisty, zaskoczył nas rześkim chłodem i czystym powietrzem. Po kilkutygodniowym zaduchu w wagonie oddychaliśmy pełną piersią. Jak długo jechaliśmy, nie pamiętam. Na pewno było to, kilka dni. W miarę upływu czasu i drogi, oczom naszym ukazał się pustynny step. Bezkresna, płaska równina. Upał stawał się nie do zniesienia. Ciężarówki poruszały się po bitym trakcie, wznecając tumany kurzu. Ten pył zalepiał oczy, dostawał się do płuc, mieszał się z potem, oblepiając ciało. Konwojentów było zaledwie kilku. Na tej naprawdę nieludzkiej ziemi, nie trzeba było już nikogo pilnować. Nikt nie miał żadnej możliwości ucieczki. Wydawało się, że droga nie ma końca. Wreszcie koniec podróży, dojechaliśmy. Kilka zrujnowanych, rozwalających się lepianek, a dookoła bezkresny step. Nigdzie śladu człowieka. Rozpacz, płacz i w końcu bunt. Ludzie nie chcą opuszczać ciężarówek. Enkawudziści najpierw krzyczą: Złazić! Wyładowywać się! Kiedy to nie pomaga, zaczynają brutalnie odrywać ręce wczepione w burty samochodów. Spychają i zrzucają ludzi na ziemię. Następnie, z impetem i furią ciskają bagażami. Fruwają tobołki, rozsypują się worki cukru, rzucają bochenkami chleba, bawiąc się przy tym doskonale. Szczególnie w mojej pamięci zapisał się obraz małej beczułki z topionym masłem. Rzucona z całej siły z wysokości ciężarówki, rozpadła się na drobne części, a cała zawartość zmieszała się z piachem. Nie wiem, dlaczego to zdarzenie tak utkwiło mi w pamięci. Może to nasze życie rozsypało się wtedy, jak małe klepki tej beczułki. Tym okrutnym sadystom wyraźną przyjemność sprawiła rozpacz i przerażenie swoich ofiar. Płakali dorośli, płakały dzieci. Mój płacz był bezgłośny, po twarzy spływały tylko strumienie łez. I tak pozostało mi już na zawsze. Jak tu mamy żyć? Pytały przerażone kobiety. Przywieźli ciebie tutaj, żebyś zdechł. Więc czego chcesz? O co masz pretensję? Zdychaj jak najprędzej i nie zwracaj nam głowy. Taki wyrok słyszałam jeszcze wielokrotnie. Pokazali tylko kierunek, gdzie płynęła rzeka Iszym i odjechali, w tumanach kurzu. Ten kurz, w postaci rudego obłoku, unosił się nad drogą jeszcze bardzo długo. Pozostała tylko sterta bagaży i siedzący na

niej zrozpaczeni ludzie. Jednak instynkt życia, oraz wola przetrwana, były silniejsze. Nie mieliśmy jeszcze zamiaru zdychać. Trzeba było pozbierać się i próbować w jakiś sposób, zorganizować sobie pobyt i przystosować się do istniejących warunków. Należało nakarmić dzieci, przynieść wody i rozglądać się za jakimś schronieniem. Z jedzeniem na razie nie było kłopotu, bo mieliśmy zapasy przywiezione z Polski. Wprawdzie część z nich, została zniszczona, w trakcie rozładunku, ale zostało jeszcze sporo. Nasi bliscy zadbali żebyśmy zabrali w drogę jak najwięcej jedzenia. Tyle tylko mogli dla nas zrobić.

Pierwsza wyprawa po wodę. Nie było jej, w czym przynieść. Każdy chwycił to, co miał. Jakieś garnki, lub bańki, na kilkanaście rodzin, było zaledwie jedno wiadro. Do rzeki szło się dość długo. My dzieci wlekliśmy się za matkami, przez dyszący gorącym step. Słońce prażyło niemiłosiernie. Żar lał się z nieba. Byliśmy ledwo żywi. Zmęczeni upałem, głodni, spragnieni i brudni. No i wreszcie zobaczyliśmy Iszym. Widok zapierający dech w piersiach. Naszym oczom ukazała łagodnie wijąca się zakolami rzeka, czysta woda przy brzegach kwitnące nenufary. Było ich dużo, białe i żółte, rozsiewały przyjemną woń. Pachniały trochę kwiatami, a trochę mułem. Czym prędzej zanurzaliśmy się, w chłodnej kąpieli, pluskając się bez opamiętania. Ale rzeczywistość skrzeczała. Trzeba było wracać do rozwalonych lepianek. Teraz najważniejszym zadaniem, było znalezienie jakiegoś lokum i zapewnienie dachu nad głową. Co odważniejsi ostrożnie zaglądnęli do zdewastowanych domków, a tam zgroza. Po kątach kłębi się robactwo. Skorpiony, ogromne włochate, czarne pająki, stonogi, długie segmentowane wiję, oraz inne ohydne stwory. Wszystko to odprawiało jakiś piekielny, chocholi taniec. Nie było mowy o zamieszkanu w takich warunkach, należało poszukać innego miejsca na nocleg. Nadchodził wieczór, ogromne czerwone słońce wisiało nisko nad horyzontem. W momencie, kiedy zaszło, niebo mieniło się różnymi barwami. Poczynając od czerwieni, poprzez złocistość, aż do różów i fioletołów. Był to widok zupełnie nowy i zdumiewający. Tego piękna nie sposób opisać, ani wyrazić. Stopniowo kolorowe światła gasły, zapadał zmierzch. Kiedy zrobiło się zupełnie ciemno, na granatowym niebie wschodził wielki złoty księżyc. Wydawało się, że jest na wyciągnięcie ręki. To był pierwszy nasz nocleg na stepie. Spaliśmy pod gołym niebem. Noce w tym klimacie bywają zimne, więc zmarzliśmy nieźle. Rankiem, wraz ze wschodem słońca zaczynał się upał. Najpierw śniadanie, dostaliśmy nawet gorącą herbatę. Gotowało się na palenisku wymyślonym naprędce. Dwie cegły, ustawiony na nich garnek, małe ognisko pod spodem i już można było gotować. Zaiste, potrzeba jest matką wynalazków. Cały dzień upłynął na ciężkiej pracy. Wszyscy zabrali się do przygotowania lepianek, w taki sposób, aby móc w nich zamieszkać. Żeby pozbyć się owadów, palono ogniska, zadymiając wnętrza chat, zmiatano, polewano klepisko wodą, czyszczono ściany i układano legowiska. Był to już, jakiś kawa-

łek dachu nad głową, chociaż bez okien i drzwi. Tych kilka zapomnianych chatek stanowiło kiedyś zimowisko koczowników, wypasających w stepie owce. Ale oni z jakichś powodów opuścili to przeklęte miejsce, zapomniane przez Boga i ludzi. Teraz my, prosto z cywilizowanego świata zostaliśmy zmuszeni bytować w prymitywnych i nie-ludzkich warunkach. Dorośli zajęci tworzeniem jakiejś egzystencji, umożliwiającej przetrwanie, nie mieli czasu zajmować się dziećmi. A była nas spora gromada. Więc skwapliwie korzystaliśmy z wolności, jaką nam dano. Przeważnie przebywaliśmy nad Iszymem. Tam od wody wiała przyjemna, chłodząca bryza. Pluskaliśmy się, brodziliśmy po płycznach, mogliśmy nawet utonąć w zdradliwym nurcie rzeki. Nikt nas nie pilnował. Chodziliśmy samopas po najbliższej okolicy. Chowaliśmy się w wysokich trawach. Nie pamiętam jednak, jakichś zorganizowanych zabaw, ani zawieranych przyjaźni. Trzymaliśmy się razem, ale jakby osobno. Nie było w nas ani radości, ani dziecięcej beztroski. Z upływem czasu, zapuszczaliśmy się w step, coraz dalej. W czasie jednej z takich eskapad natknęliśmy się na stary, zapomniany w stepie, kazachski cmentarz. To dopiero była atrakcja z dreszczykiem. Strasziliśmy siebie nawzajem, emocje sięgały zenitu. Zglądaliśmy do w pół otwartych grobów, gdzie spoczywały owinięte w całuny ciała zmarłych. Nieboszczyków chowano w pozycji siedzącej. Nad głowami mieli daszek z płaskiego kamienia łupanego. Nogi były zupełnie odkryte. Kontynentalny, suchy klimat Kazachstanu sprawiał, że zwłoki nie rozkładały się, lecz zmieniały się w mumie. Daleko później widziałam jeszcze inny, nowszy, kazachski cmentarz. Przy świeżych pochówkach, stawiano nad grobem jurte, a w niej pozostawiano wszystkie przedmioty, jakimi zmarły posługiwał się za życia, łącznie z jedzeniem. Po trzech tygodniach wszystko to usuwano i zapominano o mogile. Nasze wyprawy na cmentarz pozostawiły w mojej psychice negatywne ślady. Miałam makabryczne sny i chociaż byłam tam, tylko dwa razy, to musiało upłynąć sporo czasu, zanim doszłam do równowagi psychicznej. Innym, okrutnym rodzajem zabawy, było polowanie na pająki. Celowali w tym głównie chłopcy. Wielkie, włochate, czarne, stwory żyły w norkach i chyba były jadowite. Dzieciaki robiły kulki ze smoły, zawieszały je na nitce i spuszczały do norki. Następnie wyciągały, przyklejonego do smoły pająka, który patrzył na wszystkich wielkimi oczami. Po kilku tygodniach skończyło się nam jedzenie. Zjedliśmy całe zapasy przywiezione z Polski. Nastął głód, wielki, okrutny, głód. Nie było zupełnie niczego do jedzenia. Żołądek dostawał skurczów, jelita skręcały się i burczały. Odczuwanie głodu jest okropne. Nie odstępuje człowieka ani na chwilę. Myśli się wyłącznie o jedzeniu, o niczym więcej. Kiedy nie jedliśmy, już od trzech dni, nasze matki wpadły na pomysł, jak nas nakarmić. W płycznach Iszymu pływało mnóstwo drobniutkich rybek. Były tak malutkie, że w żaden sposób nie można było ich złapać. Ktoś bardziej pomysłowy skonstruował koszyk, którym mozolnie łapało się rybi drobiazg. Ten koszyk, nie wiem, dlaczego, nazywano mor-

dą. Wyplatano go z trzciny. Miał kształt cygara i był tak chytrze pomyślany, że miał rodzaj lejka zagiętego do środka. Rybki razem z wodą wpadały do tej pułapki i już nie mogły się z niej wydostać. Połów trwał cały dzień. Kobiety brodziły po kolana w wodzie i wycedzały narybek, aż do wieczora. A głodna dzieciarnia siedziała na brzegu i cierpliwie czekała na posiłek. Już o zmroku zaczęło się gotowanie. Złowione rybki trzeba było zemleć maszynką, następnie, zrobić z tej masy gałki. Niczego nie można było zmarnować, więc mielono wszystko, razem z głowami, oraz wnętrznościami. Maszynka była tylko jedna, więc wędrowała od rodziny do rodziny, a to trwało długo, nawet bardzo długo, jak na głodne dzieci. Byliśmy zadziwiająco cierpliwi, nie płakaliśmy, tylko czekaliśmy i czekaliśmy, aż w końcu zasnęliśmy bez posiłku. Świtało już, kiedy Mama obudziła nas i nakarmiła. Na pół śpiący jedliśmy łączywie rybie pulpeciki, popijając je pożywym bulionem. Ten smak pamiętam do dzisiaj. Szukaliśmy również na własną rękę czegoś do jedzenia. Wspominałam już wcześniej, że na wodach Iszymu, kwitły nenufary. Po okwitnięciu miały owoce podobne do makówek. W środku miały drobne, białe ziarenka zanurzone w lepkiej, przezroczystej galaretkie. Nie posiadało to kompletnie smaku, ale dało się zjeść. Można było, chociaż trochę napełnić żołądek.

Kiedy zaczęła nam grozić śmierć głodowa, trzeba było szukać ratunku. Należało dotrzeć do ludzi, do jakichś władz, żeby zdobyć coś do jedzenia. Młodsze i silniejsze kobiety podzieliły się na dwie grupy, by pójść w przeciwnych kierunkach. Miały przed sobą tylko polną, a właściwie stepową drogę, którą kiedyś przywiozło nas tu NKWD. Nie było ich przez kilka dni. W końcu wróciły, przywożąc ze sobą trochę wymienionego za ubrania jedzenia, oraz jakąś komisję. Składała się ona z kilku mundurowych i jednego cywila, zarządzającego kołchozem. Wszyscy oni byli w miarę uprzejmi i udawali zainteresowanie naszym losem, oraz warunkami bytowania. Pokiwali głowami, stwierdzili, że naprawdę trzeba nam pomóc. Głosem nieznoszącym sprzeciwu, rozkazali zarządzającemu kołchozem, niezwłocznie dostarczyć chleb i dodatkowo dzieciom mleko. Zadowoleni odjechali. Został jedynie ten odpowiedzialny. Ludzie go obścapiłi pytając, kiedy dostaną żywność? Na co on butnie i bezczelnie odpowiedział: dogoń tych, co obiecali, niech ci dadzą. Po czym wsiadł na konia i tyle go widziano. Wszystko zostało po starciu. Od niechybnej głodowej śmierci, ratował nas handel wymienny. Wiedzieliśmy już, gdzie i w jakiej odległości są osiedla ludzkie. Mieliśmy jeszcze sporo ubrań i bielizny pościelowej na wymianę. Wędrowało się nawet dwie doby po bezdrożach, nocując w stepie pod gołym niebem. A niebo było piękne. Na ciemnym granacie świeciły miliony gwiazd, które jaśniały tajemniczym, pulsującym światłem. Łagodna poświata księżycy czyniła jakąś tajemniczą i bajkową scenerię. To zniewalające piękno, tak kontrastowało z nędzą naszego bytowania, że czasami wydawało się, jakoby dobry Bóg, który stworzył to wszystko, zapomniał o nas marnych robakach. Z tych wypraw przynosiło się

trochę ziarna, trochę kaszy, czasem odrobinę tłuszczu, lub kawałek chleba. To pozwalało przetrwać jakiś czas.

O zbliżającej się jesieni przypomniały zmiany zachodzące w przyrodzie. Stepem gnały na oślep ławice okrągłych burzanów, zwanych tutaj pierekatipole. Po niebie przevalały się ołowiane chmury, robiło się coraz chłodniej. A my w dziurawych lepiankach, pozostawieni na zagładę na tym głodnym stepie, z przerażeniem myśleliśmy o zimie. Ludzie zaczęli chorować. Wdała się epidemia tyfusu i żółtaczki zakaźnej. Nasza Mama zaraziła się, jako jedna z pierwszych. Leżała biedna, cała żółta, skulona na posłaniu, ułożonym prosto na klepisku. Było już porządnie zimno. Więc tuliliśmy się do Matki, starając się wzajemnie ogrzać własnymi ciałami. Nie wiem, jakim cudem nie zachorowaliśmy. Razem z braciszkiem Jędrusiem byliśmy głodni, zmarznięci, ale zdrowi.

Kiedy już prawie nie było żadnej nadziei, to pewnego dnia przyjechała karawana furmanek zaprzężonych w woły? Dojrzeliliśmy ją już z daleka. Zwierzęta z godnością i bardzo powoli zbliżały się do nas. To był ratunek. Czym prędzej załadowaliśmy się na podwozy i w drogę. Byle dalej od tego przeklętego miejsca. Pamiętam, że Mamę położono na wozie wysłanym słomą, bo nie mogła jeszcze utrzymać się na nogach. Karawana poruszała się wolno. Woły zaprzęgnięte w drewniane jarzma, szły własnym rytmem. Miały w sobie wiele dostojeństwa i prawie nie reagowały na poganiających je Kazachów. Droga była długa i monotonna, ale wiodła ku życiu, dając nową nadzieję. Na pewnym etapie podróży rozdzielono nas i rozproszono po różnych kolchozach. Nas osiedlono w kolchozie Donskoje.

## Donskoje

Rok 1941. Druga wiosna na wygnaniu. Kwitnie step. Jak okiem sięgnąć połacie różnobarwnych tulipanów. Dominują odcienie czerwone, białe, żółte i różowe. Przyroda szaleje zapachami, kształtami i kolorami. Powietrze faluje, a na horyzoncie błękitnieje pasmo gór. Podobno te góry nie istnieją. Jest to jakiś rodzaj fatamorgany. Siedzę przed domem na skraju wsi i całymi godzinami nieruchomo patrzę w step. Małe dziecko, które już nie jest dzieckiem. Dziecko, które już nie płacze, kiedy jest głodne. Uważa, że tak już musi być, że jest to stan normalny. Małe zaszczute zwierzątko, do którego ze stepu przychodzi inne żywe stworzenie, podobne do łasicy. Wywiązuje się dziwna przyjaźń. To taka mała iskierka radości, w tym smutnym życiu. Chyba dobry los mi je zesłał. Nie bało się zupełnie, przyglądało się małymi błyszczącymi oczkami i stając na tylnych łapkach, zachęcało do zabawy, oraz domagało się okruchów chleba. Zastępowało mi zabawki, jakich nie miałam.

Dom, w którym zamieszkaliśmy, był duży i ponury. Przed nami przez dłuższy czas nikt go nie zajmował.

Stał zupełnie pusty. Niegdyś stanowił własność kulaków - bogatych chłopów, wymordowanych po rewolucji. Opowiadano również, że podczas bójki zabito tam człowieka. Miała o tym świadczyć ruda plama krwi, której nie można było w żaden sposób usunąć. Ani zamazywanie gliną, ani szorowanie, zupełnie nie pomagało. Ukazywała się ponownie i tkwiła tuż przy progu, jak jakieś memento. Na szczęście my mieszkaliśmy w drugiej izbie i nie mieliśmy tego koszmaru ciągle przed oczyma. Moja rodzina, to mama, trzyletni braciszek, Andrzej i pani Julia. To właśnie ona zdobywała jedzenie i opał na zimę. Opiekowała się nami. Była silniejsza psychicznie. Nie pozwoliła mamie na bezradność i załamanie.

W pierwszej izbie przechodniej, mieszkała pani Maria i jej dwie małe córeczki. Z naszą najbliższą sąsiadką zaczęło się dziać coś dziwnego. Zamknęła się w sobie, unikała kontaktów z nami i uporczywie milczała. Nie pozwala swoim dziewczynkom bawić się ze mną i moim bratem. Z początku nie wyglądało to groźnie. Mówiono, że ma trudny charakter, łatwo się obraża i ma o wszystko pretensję. Ta nieprzyjemna sytuacja nasilała się z czasem, co powodowało dodatkowe stresy. Najgorsze miało przyjść później. Otóż pewnego ranka, budzimy się i nie możemy wyjść na zewnątrz. W ciągu nocy pani Maria zamurowała drzwi, odcinając nas od świata. Użyła do tego kamieni łupkowych, których w okolicy było mnóstwo. Sytuacja dosłownie stała się bez wyjścia. Byliśmy zamknięci jak w klatce. Na szczęście zostało jeszcze okno, przez które można było wydostać się na zewnątrz. Tak już zostało do końca naszego pobytu w tym domu. Dobrzy ludzie dorobi-



li nam z jednej i drugiej strony okna schodki, umożliwiające w miarę bezpiecznie wydo-  
stawać się z domu. Mama z Julią wzięły się za budowę. Musiały do tego okna dobudo-  
wać komórkę. Stało się to konieczne, aby zabezpieczyć się przed zimą i przygotować  
miejsce na opał. Znosiły kamienie, układały je, spajając gliną. Cały materiał budowlany  
znajdował się w zasięgu ręki. Wystarczyło tylko pozbierać. Przyroda dostarczała wszyst-  
kiego. Czyniła człowieka samowystarczalnym. Pomagała mu przetrwać, ale również  
z całym okrucieństwem potrafiła go zabić. Trzeba było nauczyć się żyć od nowa. Ci,  
którzy mieli tyle siły i determinacji, aby się przystosować, przetrwali. Pozostali, słabsi  
psychicznie, pozbawieni woli życia, musieli zginąć. Człowiek nie jest w stanie wyobra-  
zić sobie ile może znieść. Dopiero postawiony w ekstremalnej sytuacji, potrafi wyzwolić  
w sobie takie pokłady energii, taką wolę przetrwania, że nigdy przedtem, o to sobie nie  
podejrzał. Tymczasem z naszą sąsiadką było coraz gorzej. Ona właśnie była tą słab-  
szą. To, co pierwotnie postrzegano, jako złe cechy charakteru, nadmierną kłótniwość,  
zamykanie się w sobie, unikanie ludzi, było zwiastunem rozwijającej się choroby psy-  
chicznej. Pani Maria stworzyła sobie swój urojony świat. Przebywanie w tym świecie  
doprowadziło do tragicznego końca. Maria postanowiła zbudować sobie dom. W tym  
celu zaczęła gromadzić budulec. Zbierała w okolicy kamienie łupkowe, niekiedy bardzo  
duże i dźwigała je na miejsce rzekomej budowy. Skutki tak morderczej pracy nie dały na  
siebie długo czekać. Maria pozrywała i uszkodziła sobie różne organy wewnętrzne. Wy-  
padło jej jelito i nastąpiło zakażenie. Umarła w wielkich męczarniach, osierocając dwie  
córeczki. Z opowiadań wiem, że prawdopodobnie, powróciły do Polski. Mimo wszyst-  
kiego, życie toczyło się dalej, bez jakiegokolwiek perspektywy na zmianę. Beznadzieja,  
rozpacz, i marazm. Aż tu nagle, jak grom z jasnego nieba wiadomość o wybuchu wojny  
sowiecko- niemieckiej.

Pamiętam ten dzień jak dziś. Był upalny czerwcowy ranek. Ludzie zgromadzili się  
na placu przed zdewastowaną cerkwią i uważnie słuchali przemawiającego agitatora.  
Potem kobiety zanosły się płaczem, a mężczyźni wznosili okrzyki wielbiące Stalina.  
Dla nas była to jakaś nadzieja na zmianę. Z dzisiejszej perspektywy, może to wyglądać  
okrutnie. Bo jakże można cieszyć się z wojny. My jednak cieszyliśmy się. Schwyciliśmy  
się z braciszkiem za ręce i tańczyliśmy do upadłego. Tak nam udzieliła się radość doro-  
słych. Jednak bardzo szybko przekonaliśmy się, że wojna, chociaż odległa o tysiące ki-  
lometrów, zbiera swoje żniwo wokół nas. Wieś opustoszała, zostały kobiety, dzieci  
i starcy. Mężczyźni wyruszyli na front. Jeszcze dziś słyszę rozdzierający krzyk kobiet,  
które biegły do urzędu, aby odebrać zawiadomienie o śmierci kogoś bliskiego. Ale świat  
istniał jak przedtem. Zmieniały się pory roku, przyroda rządziła się swoimi odwieczny-  
mi prawami. Wiosna tak jak nagle przyszła, tak szybko odeszła. Nastąpiło skwarne sybe-  
ryjskie lato. Step wypłowił i stracił swoje piękno. Trawy wyschły, a ziemia spękała od

suszy i gorąca. Nasze życie też nabrało innego rytmu. Spowolniało, dostosowało się do przyrody. Upał rozleniwiał ludzi oraz wszystko dookoła. Nastął czas zbierania kiziaków. Codziennie wędrowaliśmy daleko w step, ciągnąc wielki ciężki wózek. Zbierałyśmy wyschnięte placki krowiego nawozu pozostawionego przez pasące się tam bydło. Przez cały dzień mozolnej pracy w upale i kurzu ładowaliśmy pełną skrzynię wózka i dwa olbrzymie wory. Wiązało się to wszystko sznurem i przed wieczorem wracałyśmy do domu. Z mojej malutkiej perspektywy wózek z workami wyglądał jak wielka góra. Mama zaprzęgała się do dyszla, a ja usiłowałam popychać z tyłu. W ten sposób gromadziłyśmy opał na zimę. Tak dzień za dniem harowałyśmy całe lato. Była to sprawa życia lub śmierci. Przetrwać zimę można było tylko wtedy, kiedy było, czym palić w piecu.

A lato było jeszcze w pełni. Rano wschodziło wielkie czerwone słońce i wisiało nieruchomo nad bezmierną równiną spłowiałego stepu, żeby nagle rozbłysnąć tysiącem promieni i zalać ziemię jaskrawym światłem. Robiło się bardzo gorąco. Wszystko, co żyło chowało się przed upałem i trwało w bezruchu. Nasze życie toczyło się też w zwolnionym tempie. Mieliśmy jeszcze trochę rzeczy, przywiezionych z Polski, wymienialiśmy je na jedzenie. Nie głodowaliśmy jeszcze. Głód miał dopiero nadejść. W tej monotonnej rzeczywistości, pewnym urozmaiceniem i jedyną rozrywką dorosłych, była gra w karty. Oczywiście karty też trzeba było zrobić samemu. Mama z Julią namiętnie grywały w tysiąca.

Jakoś pod koniec, lata w Donskim zjawili się nowi mieszkańcy. Przyjechali Żydzi z Odessy, uciekając w ten sposób przed zbliżającym się frontem. Jedna z nich kobieta o imieniu Bietka, zaprzyjaźniona z nami, też uwielbiała karty. To do niej wieczorami wychodziły Mama i Julia na kilka partyjek ulubionej gry. Przed wyjściem układały nas do snu. Mały braciszek Jędrus zasypiał natychmiast, a ja w żaden sposób nie mogłam zasnąć. Ogarniał mnie potworny i wszechobecny strach. Leżałam bez ruchu, w zupełnych ciemnościach i czułam jak ten strach wylał się z każdego kąta. Był on zupełnie materialny, prawie namacalny. Czułam jak pełźnie do mnie i oblepia z każdej strony. Bałam się poruszyć, bałam się oddychać, drętwiało mi całe ciało, oblewał zimny pot. Serce podchodziło do gardła, miałam uczucie niepojętej dla mnie niesamowitości. Kiedy ta groza osiągała apogeum, miałam wrażenie, że spadam głową w dół. Zła energia tego okropnego domu chyba chciała mnie zabić. Ostatkiem woli zrywałam się z posłania i uciekałam na dwór. Tam też się bałam, ale strach był już inny, bardziej oswojony. Siedziałam w kącie między komórką, a ścianą budynku, kuliłam się tak bardzo, jak tylko było to możliwe. Wydawało się, że już jestem niewidoczna. A nocny step żył swoim życiem. Coś w dali pohukiwało, coś pełzło, coś syczało. Ale te strachy były realne i jakby bardziej przyjazne. Noc zacierała kontury. Rozgwieżdżone niebo otulało wszystko dookoła. Siedziałam tak zmarznięta i przerażona długie godziny. A potem musiałam wysłuchiwać

niezłej reprimendy. Bo ta dziwna Basia znowu sprawia kłopoty. Zamiast grzecznie spać, wyczynia jakieś fanaberie. Przyjmowałam te uwagi z pokorą. Miałam poczucie winy, jak też małej wartości. Nie umiałam powiedzieć, co czuję i dlaczego tak cierpię. Przecież byłam zaledwie siedmioletnim dzieckiem. Dzieckiem pozbawionym dzieciństwa. Jak patrzę na to z tak odległej perspektywy, to myślę, że przeżyłam jedną z największych traum mojego życia. Odcisnęła ona negatywny wpływ na kształtowanie się mego, późniejszego charakteru. Jako dorosła, też nie umiałam porozumiewać się z ludźmi. Nigdy nie potrafiłam wyrazić, czego chcę, czego pragnę, co czuję. Oceniam to, jako rodzaj psychicznego kalectwa. W połowie lata dopadła mnie cynga. To miejscowa nazwa ciężkiej odmiany skorbutu. Leżałam słabiutka i bezbronna, bez żadnej pomocy medycznej. Cała jama ustna, to była wielka rana. Z kąćków ust sączyły się strużki ropy. Nie przyjmowałam pokarmów. Nie pamiętam czy coś piłam. Zapadałam w jakiś letarg. Ruszały mi się wszystkie zęby. Tkwiły w rozpułchnionych dziąsłach niczym w cieście. Prawdopodobnie umarłabym z głodu, gdyby nie stara Imambajewa. Przyszła do mnie w białym czadorze, miała dobre mądre oczy i pogodny wyraz pomarszczonej twarzy. Przyniosła siny kamień, jakiś minerał podobny do dużej grudy soli. Tylko barwę miał niesamowitą, jaskrawo turkusową. Zaczęła mnie leczyć. Potłuczony na drobno kamień, częściowo rozpuszczał się w wodzie, zabarwiając ją na niebiesko. Tym roztworem płukałam usta. W smaku był bardzo ostry, cierpki i gorzko kwaśny, ale za to bardzo skuteczny. Powoli przychodziłam do zdrowia. Mój dobry anioł, w postaci tej starej muzułmanki, przynosił mi w małym czajniczku kumys. Tym sfermentowanym kobyliim mlekiem pojono mnie, wlewając z dzióbka czajniczka po kilka kropel do ust. Potem, w drodze wyjątku, przez jakiś czas dostawałam z kolchozu pół litra mleka dziennie. Dzieliłam się tym mlekiem z moim małym braciszkiem.

Jesienią zagoniono Mamę do pracy w kolchozie. W związku z tym, całymi dniami pozostawaliśmy sami, bez opieki. Często głodni, bez celu wałęsaliśmy się po wsi całymi godzinami. Jak sięgam myślami wstecz, to zawsze widzę, jak kurczowo trzymam braciszka za rączkę i nawet na chwilę nie spuszczam go z oczu. Wiedziałam, że jestem odpowiedzialna za jego bezpieczeństwo i z tego obowiązku starałam się wywiązać jak najlepiej. Czasem ktoś się nad nami zlitował i dał coś do jedzenia. Często to byli dziadkowie Szmygle. Samotna para staruszków z pochodzenia Białorusinów, którzy darzyli nas szczególną sympatią. Widząc jak idziemy, już z daleka wołali: Wasia! Wasia! Chadzi siuda. Dostawaliśmy zazwyczaj po kromce chleba. Ach jak ten chleb smakował. Nikt, kto nie doświadczył prawdziwego głodu, nie jest w stanie poczuć tego smaku. Nigdy z bratem nie prosiliśmy nikogo o jedzenie. Uczucie głodu było stanem normalnym, przyzwyczailiśmy się do tego. Mniej więcej w tym czasie zaprzyjaźniliśmy z dwiema dziewczynkami w naszym wieku. Mieszkały one z matką i babcią, a ojciec był na fron-

cie. Ta rodzina Akimczenków to byli bardzo dobrzy ludzie. Traktowali nas na równi z własnymi dziećmi. Stawiali na stołku wielką glinianą misę, pełną parującego kapuśniaku, każde z nas dostawało okrągłą drewnianą łyżkę. Klęczeliśmy we czwórkę dookoła stołka i ze wspólnej miski zajadaliśmy z apetytem zupę. Czasem w tym kapuśniaku pojawiały się jakieś smakowite skwarki, lub kawałeczki mięsa. Wtedy obie dziewczynki na wyścigi starały się je wyłowić. Toczyły nawet o tą zdobycz zaciekle walki między sobą, grzmocąc się łyżkami po głowach. My z Jędrusiem nie braliśmy w tym udziału, bo jako goście skromnie zadawaliśmy się tym, co zostało. Myślę o tej rodzinie ciepło i z wdzięcznością, oni pomogli nam przetrwać, pozwolili nam przebywać u siebie i bawić się ze swoimi dziećmi. Bywaliśmy również razem z Mamą u kazachskiej rodziny Imambajewych. Lubili nas, byli bardzo ciekawi wszystkiego, co sobą reprezentowaliśmy. Dla nich byliśmy przybyszami z innego świata, którego nie znali. Kazachowie stanowili odrębną społeczność, i unikali kontaktów z Rosjanami. Trzymali się razem, byli bardzo solidarni względem siebie. To wolny naród. Wolność dawał im step i przestrzeń. Powodziło się Kazachom lepiej, niż pozostałym. Mieli zawsze, co jeść i byli wobec nas bardzo gościnni. Przeważnie zapraszali nas na kolację, która była głównym posiłkiem dnia. Towarzyszył jej specjalny rytuał i uroczyste celebrowanie wielu czynności. W wielkim kotle wmurowanym bezpośrednio do paleniska, gotował się świeżo zabity baran. Pod koniec gotowania, do tłustego rosółu wrzucano cienko rozwałkowane płaty ciasta. To dopiero była uczta. Schodzili się członkowie całego klanu i wspólnie zasiadaliśmy do stołu. Stół był duży, okrągły i niziutki. Siedzieliśmy po turecku. Na wielgachnym drewnianym talerzu wnoszono mięso obłożone płatami ciasta. W głębokich miseczkach zwanych kisiejkami, podawano rosół. Uprzednio, każdy mył ręce, wodą polewaną z czajniczka. Gospodarz domu zakasawszy rękawy, odkrawał kawałki mięsa, podając je kolejno zebrany. Jedliśmy z apetytem, popijając tłustym wywarem. Na deser zwykle, była zielona herbata ze smakołykami wyrabianymi z mleka. Zazwyczaj, to był bardzo kwaśny kurt i podobna do białej czekolady sarsa. Dla nas dzieci, to jedyne słodczyce, jakie znaleźliśmy. Niestety, takie szczęście nie spotykało nas często, bo następny posiłek przygotowywał już ktoś inny z licznego rodu i już nas nie zapraszał. Myślę, że sympatia, jaką żywili do nas Kazachowie brała się z tego, że i oni też czuli się zagrożeni przez totalitarny system sowiecki. Czas włókł się leniwie, powoli zbliżała się jesień. Niebo przybrało barwę ołowianą, wisiało nisko nad horyzontem, step stał się szary i ponury. Niesione wiatrem olbrzymie stada, okrągłych, jak piłki koleczastych krzewów, przetaczały się w jakimś dzikim pędzie. Żeby po chwili zniknąć w dali. Zjawisko to było dziwne i niesamowite. Budziło niepokój oraz uczucie przygnębienia. Miałam przeczucie, iż nadchodzi cos nieznanego, a zarazem groźnego. Robiło się coraz zimniej. W dalszym ciągu wędrowaliśmy z braciszkiem po wiosce. Ciągłe trzymaliśmy się za

rażki. Dwie małe bezbronne istotki chciały w ten sposób, choć trochę czuć się bezpiecznie. Pewnego razu poszliśmy do Mamy, która pracowała wtedy przy produkcji opału, dla kołchozu. Polegało to na poganianiu wołów zaprzężonych do wielkiego kiaratu. Ugniatały one zmieszany ze słomą nawóz. Po wyschnięciu urobionej, w ten sposób masy, cięto ją w duże kostki, którymi opalano zimą różne urzędowe pomieszczenia. Byliśmy już wtedy dość ciepło ubrani. Jędrus miał na sobie, płaszczyk a na wierzchu fartuszek, ze skrzyżowanymi na plecach szeleczkami. Nieoczekiwanie zobaczyliśmy pędzącego, rozjuszonego buhaja. Nikt z obecnych nie zdążył zareagować. Znieruchomieliśmy ze zgrozy, kiedy ta bestia schwyciła braciszka na rogi i z całej siły cisnęła nim o ziemię. Uratował go od niechybnej śmierci gruby płaszczyk i fartuszek. Szczęśliwym trafem byk zahaczył rogami o szelki fartuszka. Skończyło się jedynie na potłuczeniach i powierzchownych otarciach. Buhaje często wałęsały się po wsi niczym bezpieczeństwa psy. Widziałam raz, jak te dwa potężnie zbudowane, rozwścieczone zwierzaki toczyły między sobą zażartą walkę na śmierć i życie. Trwało to zazwyczaj kilka godzin. Nacierali tak na siebie na zrytej wokół ziemi, brocząc obficie krwią. W żaden sposób nie można był ich rozpedzić. Dopiero jakiś śmiałek zdołał wskoczyć na jednego z nich zadając mu śmiertelny cios, wbijając nóż w kark. My małe dzieci, byliśmy świadkami tej okrutnej, krwawej sceny. Nie oszczędzono nam niczego. W takich warunkach, kształtowała się nasza psychika, na której odcisnęły się trwale ślady tamtych zdarzeń. Wielkimi krokami zbliżała się zima. Przeprowadziliśmy się do innego małego domku, raczej lepianki, była ona przytulna, bardziej przyjazna i lepiej przystosowana do przetrwania mrozów. Przystałam się bać. Znaczną część pomieszczenia, zajmował wielki piec. Był tak duży, że swobodnie mieściło się na nim nasze legowisko. Właściwie, większość życia koncentrowała się wokół tego pieca. Tam spaliśmy, tam nocami bawiliśmy się przy pełgającym kaganku, Mama robiła na drutach pończochy i skarpety. Tam było ciepło. Na piecu koncentrowało się nasze życie. Z nadejściem zimy, nastąpiły siarczyste mrozy. Spadły ogromne śniegi, zamieniając wszystko w śnieżną pustynię. Wszędzie panowała oślepiająca, lodowata biel. Zawiało, drogi i chaty, czyniąc krajobraz nieruchomym i bezkresnym. Zaległa wielka cisza, wszystko zamarło i zastygło w bezruchu. Nasz świat ograniczał się jedynie do tej małej chatki. Tej zimy nie wyszliśmy na dwór ani razu. Nie mieliśmy po prostu odpowiedniego ubrania. Siedzieliśmy całymi dniami, zamknięci w czterech ścianach. W dosłownym tego słowa znaczeniu, ponieważ Mama wychodząc do pracy, zamykała nas na kłódkę. Małutkie okienka zamurował mróz, który wyczarowywał na szybach śliczne wzory. Można było tak patrzeć i patrzeć, bez końca. Wyobrażając sobie cudowne, bajkowe ogrody i wędrowki po nich. W grubym szronie pokrywającym małe szybki wydrapywaliśmy niewielkie dziurki, pozwalające jednym okiem wyglądać na świat. Nie mieliśmy żadnych zabawek, nie mieliśmy się, czym zająć, więc często chodziliśmy

w kółko bez celu. Wyobrażnia podpowiadała nam przeróżne scenariusze. Najczęściej bawiliśmy się w polowanie na wilki. Zbierałam stare szmatki, skrawki materiału, przędzę ze sprutych skarpet i z tych skarbów, szyłam laleczki. Zabawialiśmy się w pewien rodzaj teatrzyku kukielkowego, nadając naszym bohaterom rozmaite role. Pewnego dnia, stara Imambajewa przyniosła nam miseczkę masła. Ponieważ byliśmy zamknięci, podała ją nam, przez wyciętą prawdopodobnie kiedyś dla psa dziurę w drzwiach sieni. Jedliśmy to masło bez chleba, a kiedy nas zemdliło, resztę wykorzystaliśmy inaczej. Odkryliśmy, że doskonale można nim malować po wybielonych wapnem ścianach. Więc zaczęliśmy tworzyć. Obrazy bazgrane palcem wydawały się nam bardzo piękne. Gorzej było jak wróciła Mama. Kompletnie nie miała zrozumienia dla naszej twórczości i sprawiła nam porządna burę. Nigdy już, w czasie pobytu w Kazachstanie nie rysowaliśmy, no może czasami patykami na piasku. Tej zimy nauczyłam się czytać. Mała błękitna książeczka do nabożeństwa była moim elementarzem. Żadnej innej książki nie miałam. Czytałam ten modlitewnik w kółko, aż umiałam go na pamięć. Sytuacja zmieniła się zupełnie, kiedy od miejscowej nauczycielki dostałam rosyjskie bajki. Oczarowały mnie do tego stopnia, że bardzo prędko biegle czytałam po rosyjsku. Byłam pełnym samoukiem w tej dziedzinie. Całkowicie pochłonął mnie ten baśniowy świat. Był zupełnie różny od tego, w którym żyłam do tej pory. Niczym Alicja w krainie czarów przechodziłam na drugą stronę lustra i już byłam, wśród moich ulubionych bohaterów. Wczuwałam się w ich losy, zachwycalam się pięknem, żar ptaka, podziwiałam siłę Waligóry i Wyrwidęba, płakałam nad dolą głupiego Iwanka. Jednak najbardziej kochałam konika Garbuska. Czas fascynacji tą literaturą zapamiętałam, jako czas dobry i pogodny. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Julia postanowiła sprawić nam trochę radości i ubrać choinkę. W tym celu, brnąc po pas w śniegu, wybrała się nad rzekę Iszym. Tam na brzegu rosły krzaki wikliny. Proste, bezlistne, gałązki tej rośliny prezentowały się marnie i biednie, jak to całe nasze syberyjskie dzieciństwo. Jednak dla mnie i brata, to była najpiękniejsza choinka. Ozdobiliśmy ją najładniej jak tylko mogliśmy. Z gazet zrobiliśmy łańcuchy, z resztek jeszcze polskiej waty sztuczny śnieg, a na czubku zawiesiliśmy najcenniejszą dekorację, jaką mieliśmy. Była to reklama sosu grzybowego, która jakimś cudem, zawędrowała z nami, aż do Kazachstanu. Miała ona postać książeczki w kształcie grzybka, borowika i służyła za gwiazdę betlejemską. Miałam w swoim życiu wiele choinek, ale ta jedna jedyna, pozostała w mojej pamięci na zawsze. Jeszcze teraz widzę ją, ze wszystkimi szczegółami. Jak niewiele potrzeba małemu człowiekowi do szczęścia. Jak subiektywnym może być odczuwanie radości, w sytuacji zupełnej nędzy i braku nadziei.

Zima na dobre wzięła świat w swoje lodowate okowy. Mrozy przekraczały czterdzieści stopni. Po wyjściu na dwór nie można było złapać tchu, brwi pokrywały się

szronem, zamarzały ręce i nogi. Przy każdym oddechu czuło się dotkliwy ból w piersiach. Nastąpiła pora buranów. Te straszliwe burze śnieżne pochłonęły kilka istnień ludzkich. Zmrożony, sypki jak cukier śnieg porywał wiatr i unosił go do góry, przenosząc go w zupełnie inne miejsce. Zamięć była tak potężna, że zacierała wszelkie kontury, dookoła żadnej widoczności. Niebo zakrywała gęsta mgła. Śnieżne wichry wiały z taką prędkością, że tworzyły się wiry powietrzne. Człowiek, który z jakiegoś powodu, wyszedł z domu, oślepiiony siekącym z wielką siłą śniegiem, tracił orientację i prawie zawsze zamarzał. Najczęściej taką śmiercią ginęli Polacy. Tubylcy nigdy w czasie buranu nie wychodzili na zewnątrz. Znany jest mi fakt, zamarznięcia kobiety, która wyszła po mleko dla dzieci i już nie powróciła. Jej ciało znaleziono dopiero na wiosnę. Burany szalały wyjąc przeraźliwie, jęcząc, szlochając i kwiląc jak niemowlę. Zazwyczaj taki koncert trwał dobę, trzy dni, lub cały tydzień. Po ustaniu zamieci, ten, kto odkopał się pierwszy, odkopywał sąsiadów. Powstawały wyrąbane w śniegu tunele prowadzące do okien i drzwi. Czyniąc chatki jeszcze bardziej ciemne i ponure, bez najmniejszego promyka słońca. W te długie, wlokące się w nieskończoność zimowe wieczory, jedliśmy słonecznikowe pestki. Julia chodziła na tak zwany masak. Była to wyprawa na odległe pola niezebranych słoneczników. Trzeba było brnąć po pas w śniegu, a następnie, uderzając kijem w kapelusz słonecznika, młócić ziarna, do podstawionego worka. W domu prażyło się pestki w piecu. No i już można było z apetytem zjadać. Miejscowi od łuskania tych pestek mieli w charakterystyczny sposób, wyszczerbione z przodu zęby. Prawdziwą plagą tej zimy były wilki. Piękne, białe zwierzęta w swoich barwach ochronnych, mogły zachwycać. Było ich bardzo dużo. Populacja wzrosła niepomniernie. Prawdopodobnie zbliżające się działania wojenne przeganiały watahy tych stworzeń w spokojniejsze miejsca. Nocami podchodziły blisko osiedli, otaczały je kołem i przeraźliwie wyły. W ciemnościach było widać ich świecące niczym ogniki, złowieszcze oczy. Tak przyczajone czekały tylko by ruszyć do ataku. Rozszarpały wszystkie wiejskie psy. Podkopywały się pod ściany zabudowań gospodarczych, aby zabić i zjeść znajdujące się tam zwierzęta domowe. Pewna kobieta, mieszkająca wraz z dzieckiem na skaju wsi, usłyszała w nocy podejrzaną hałas. Postanowiła sprawdzić, co się dzieje. Ku swojemu przerażeniu zobaczyła wilka, który zaklinował się w wygrzebanym przez siebie dole i nie mógł się wydostać. Tkwił tak połową ciała w chlewiku, a reszta była na zewnątrz. Tam ludzie umieli sobie radzić. Kobieta wzięła łom, weszła na dach, zrobiła dziurę w poszyciu i zabiła wilka. Jedynie, czego bały się te bestie, to polujących na nie Kazachów. Charakterystyczna sylwetka myśliwego na koniu, w wielkiej futrzanej czapie, z długim kijem, zakończonym pętlą, budziła w nich strach i zmuszała do ucieczki. Moje bliskie spotkanie z wilkami, miało miejsce tylko raz. Zbliżało się przedwiośnie, było już cieplej, więc wybrałam się z Mamą do sąsiedniego kołchozu. Usłyszyliśmy zaledwie kilka kilometrów,

jak zobaczyliśmy w oddali wielką, rozwaloną stertę słomy. Na tej słomie harcowała gromada wilków, było ich kilkanaście. Przeraziłyśmy się do tego stopnia, że błyskawicznie zawróciłyśmy i biegiem zaczęłyśmy się oddalać. Na szczęście zwierzęta były zajęte sobą i nie interesowały się nami. Zajęci drobnymi troskami codziennego życia, odizolowani od świata, pozbawieni wiadomości, nie wiedzieliśmy, że polskie wojsko generała Andersa, opuściło ZSRR. Na nas spadły represje. Odebranie polskiego obywatelstwa, pogrążyło wszystkich w rozpacz. Powstał bunt, nie odbieramy sowieckich paszportów i koniec. Tymczasem przychodzi wezwanie z Kimy.

Niezwłocznie stawić się w miejscowym NKWD, po odbiór paszportu. Podstawiono sanie z parą koni. Mama bojąc się aresztowania, postanowiła nie rozstawać się z nami. Dlatego na sanie powędrował cały nasz dobytek, pierzyny i trochę odzieży. Otułeni, czym tylko było można, zagrzebani w siano, ruszyliśmy do Kimy. Rozpoczął się nowy etap naszego wygnania.



## Kima

Kima przywitała nas jesienną szarugą i brzydota zabudowań. To bezładnie sklecone miasteczko, stanowiło skupisko dawnych i nowych zesłańców. Polacy byli tam dość liczną grupą. To właśnie oni przygarnęli nas, dając kąt do zamieszkania. Kiedy przyjechaliliśmy było już po paszportyzacji. Pierwsi wezwani po odbiór paszportów, co było równoznaczne z przyjęciem obywatelstwa sowieckiego, stawiali opór. Zamykano ich do więzienia, stosowano tortury psychiczne, grożono gułagiem. Ta cała akcja pozbawienia nas obywatelstwa polskiego, była zemstą Stalina, za wyprowadzenie wojska polskiego przez generała Andersa. W Kimie już wszyscy Polacy mieli paszporty, więc w naszym wypadku, była to czysta formalność. Nastroje okropne, ludzie pograżyli się w rozpacz, pozbawieni jakiegokolwiek nadziei. Przygnębienie i marazm ogarnęło wszystkich.

W takiej atmosferze przyszło nam zamieszkać w Kimie. Chałupa była drewniana i bardzo stara. Taka typowa dla tamtejszego, małomiasteczkowego budownictwa. Nosila jeszcze ślady dawnej świetności w postaci resztek malowideł na okiennicach i ścianach okalających drzwi. Prawdopodobnie kiedyś zamieszkiwali ją wolni i zamożni gospodarze. Dwie duże izby zatłoczone były do granic możliwości. Gnieździło się w nich kilka polskich rodzin. My dostaliśmy jedyny wolny kąt w najciemniejszym miejscu za piecem. Tam stanęła nasza prycza. Wyznaczała ona przestrzeń należąca wyłącznie do nas. Tam spaliśmy, tam jedliśmy, czasem bawiliśmy się, a najczęściej siedzieliśmy z bratem bez ruchu, przyglądając się życiu mieszkańców. A było, na co patrzeć.

Kto zamieszkiwał ten dom? Doprawdy wszystkich nie pamiętam. Jednak o niektórych z nich zachowałam bardzo wyraźne wspomnienia. Rosyjska gospodyni z dwoma pasierbami mieszkała na wielkim piecu. Mąż był, jak wszyscy na froncie. Ona pracowała, jako dojarka i praktycznie całe dnie jej nie było. Wracała wieczorem i przynosiła głęboko schowaną pod kożuchem płaską buteleczkę mleka. Młodszy chłopiec o wyraźnym niedorozwoju umysłowym, ale za to o gołębim sercu, czasem dzielił się z nami tą odrobiną mleka. Starszy z pasierbów nastolatek, uczeń dziesięciolatki, był zatwardziałym komunistą. Wielbił Stalina i ślepo w niego wierzył. W tych poglądach nie tkwił sam, reszta jego rodaków myślała podobnie. Pani Karpaczowa zajmowała kąt w pobliżu okna. Stał tam olbrzymi kufer, skrywający cały jej majątek. Ta drobniutka, filigranowa staruszka mieszkała na nim i również tam spała. Posłanie miała najbardziej luksusowe z nas wszystkich, wymoszczone pierzynami i poduszkami. Historia pani Karpaczowej zasługuje na osobną opowieść, więc zostawiam ją na później.

Na przypiecku najczęściej siedział Mundek. Miał może szesnaście lat, a mentalność trzyletniego dziecka. Widzę jeszcze teraz, jego wychudzoną do granic możliwości

postać. Ciało miał pokryte strupami, oraz czyrakami. Był wiecznie głodny, zagłodzony przez własną matkę. Kobieta ta popadła w skrajny dewotyzm i na siłę chciała ze swojego upośledzonego syna, zrobić świętego. Kiedy z litości, dawano mu kawałek chleba, odbierała go mówiąc: powąchaj i nie rusz. Tłumaczyła oburzonym współlokatorom, że w ten sposób ćwiczy w chłopcu silną wolę, potrzebną do umartwiania się. Nie pamiętam jednak, żeby wobec siebie stosowała podobne tortury. Wyglądała na nieźle odżywioną, jak na tamte warunki, zadbaną z odrobiną elegancji, a nawet kokieterii. Dziwna ekstaza religijna tej pani, powodowała, że głównym jej zajęciem było strojenie ołtarzy i organizowanie modłów. Przy czym sobie przypisywała rolę księdza. W tej pobożności tkwiło coś nienormalnego i dziwnego. Z jednej strony modliła się żarliwie, z drugiej zaś przejawiała wielkie okrucieństwo wobec syna. Wspominam tą postać z niechęcią. Mundek nie przeżył, zmarł po naszym wyjeździe na Ukrainę. Zastanawiam się jak na to mogli pozwolić ludzie, których tam było tak wiele. Dlaczego byli na to obojętni? Dlaczego ograniczali się jedynie, do dania jakiegoś jedzenia temu nieszczęśnikowi, którego on nie chciał zjeść, bez zezwolenia matki. Ja byłam zaledwie dzieckiem.

W drugiej izbie, podobnie zatłoczonej, najbardziej pamiętam panią Irenę. Pochodziła z bogatej rodziny urzędnika wysokiego szczebla. Wychowana w dobrobycie i luksusie, nigdy nie pogodziła się z nędzną egzystencją. Po prostu nie przyjęła jej do wiadomości. Żyła w zupełnie innym świecie. Nie miała dzieci, więc nie musiała walczyć o byt i pazurami zdobywać jedzenie, jak czyniły to matki. Pamiętam jej spódnicę, w której dostojnie kroczyła. Uszyła ją z ręcznie tkanego, chodnika. W moim mniemaniu była bardzo ładna, kolorowa, cała w tęczowe pasy. Pani Irena posiadała kota. Wspaniały syberyjski kot pięknie ubarwiony. Sierść miał rudą, pręgowaną i puszystą. Jego oczy zielone i wielkie posiadały jakiś niesamowity wyraz. Całymi dniami wylegiwał się na posłaniu razem ze swoją panią. Nocami polował na gryzonie i inne drobne zwierzęta.

Był wypasiony, miał się dobrze, na pewno lepiej od swojej opiekunki.

Zadziwiające jak wywożeni ludzie czasami zabierali ze sobą zupełnie niepotrzebne przedmioty. Pani Irena miała wielką książkę kucharską. Godzinami czytała różne przepisy kulinarne i twierdziła, że czuje smak i zapach potraw, tak jakby je jadła. Na pewno oszukiwała żołądek, uciekała w wyobraźnię, co pozwalało jej przetrwać. Ja w tym czasie, zaczęłam czytać po polsku. Pierwszą lekturą, jaka trafiła w moje ręce, był przedwojenny „Płomyczek”. Z wypiekami na twarzy pochłaniałam opowiadania o zwykłym ludzkim życiu. O życiu, jakiego nie znałam,

W Kimie coraz częściej w oczy zaglądał nam głód. Ze względu na duże skupisko ludzi trudno było zdobyć coś do jedzenia. Nie było już niczego do wymiany. Do tego doszła jeszcze plaga wszy. Okropne warunki sanitarne, zatłoczone pomieszczenia, brak możliwości porządnego umycia się, sprzyjały rozmnażaniu tych pasożytów. Roznosiły

one różne zarazki, a przede wszystkim były odpowiedzialne za epidemię tyfusu. Szerzyły się rozmaite choroby zakaźne, ale tyfus zbierał największe żniwo śmiertelne. Dzieci często chorowały na dyfteryt. Nawet mój braciszek Andrzejek zaraził się i ciężko zachorował. Gorączkował niebezpiecznie, długo leżał w wielkiej niemocy. Oczywiście nie było mowy o jakiegokolwiek pomocy medycznej.

Widocznie sążone było mu życie, bo wyzdrowiał dzięki temu, że organizm sam zwalczył chorobę.

Wszy były wszędzie. Przechodziły z jednego człowieka na drugiego. Walka z nimi była walką z wiatrakami. Jedne żyły we włosach inne w ubraniu. Pamiętam, że przy łóżku pani Ireny stał duży karton, nakryty kawałkiem czarnego sukna. Na tym ciemnym tle doskonale widoczne były łączące wszy. Miały różną wielkość. Duże, średnie i zupełnie małe, przemieszczały się w różnych kierunkach. Podążały tylko sobie znanymi szlakami, szukając potencjalnej ofiary. Nasza Mama dzielnie starała się walczyć z tym plugastwem. Codziennie prasowała nasze ubrania gorącym żelazkiem, wypalając w ten sposób gnieźdzące się w szwach insekty. Brat miał ogoloną głowę, zostawiano mu jedynie z przodu śmieszoną grzywkę. Mnie natomiast ciągle smarowano głowę naftą. Posiadanie wszy nie budziło wstydu. Zjawisko to zostało powszechnie akceptowane. W dni świąteczne kobiety wylegały przed chaty i iskały się nawzajem. Traktowały to, jako relaksującą rozrywkę.

Życie w takich warunkach stawało się nie do zniesienia. Człowiek potykał się o człowieka. Wybuchwały kłótnie i swary, czasami z zupełnie błahych powodów. Latem można było uciec z tego piekła, z czego skwapliwie korzystaliśmy. Zapuszczaliśmy się w zupełnie inną, tajemniczą dzielnicę Kimy. Wzdłuż szerokiej ulicy, po obu jej stronach ciągnęły się ruiny okazałych domostw. Ściany zachowały się w dobrym stanie, ponieważ zbudowane były z bardzo wytrzymałego materiału, jakim był kamień łupkowy. Widniały tylko otwory po drzwiach i oknach, reszta prawdopodobnie została wypalona. Te ruiny to widomy znak utrwalania na tym terenie władzy radzieckiej. To zbrodnia ludobójstwa, które zostało dokonane na bezbronnej ludności. W ramach akcji rozkułaczania rozstrzelano całe rodziny z dziećmi włącznie, a domostwa ich zrujnowano i spalono. Tak, aby nie pozostał kamień na kamieniu. Ale kamień trwał

i dawał świadectwo męczeństwa tych, co tam zginęli. Gdzie niegdzie widniały na murach wyraźne ślady zakrzepłej krwi. Mimo upływu czasu trwały te rude plamy rozmieszczone mniej więcej na wysokości głowy człowieka. Za co zginęli ci ludzie? Czym zawinili? Jedyna ich wina, to, że byli bogatsi od innych. Kułacy bogaci i wolni chłopci stanowili zagrożenie dla władzy sowieckiej. Więc likwidowano ich bez skrępulów.

Celem naszych z bratem wypraw w te rejony, było poszukiwanie czegoś do jedzenia. W labiryntach ruin tworzyła się warstwa żyznej gleby, na której wyrastały różne

pożyteczne rośliny. Pozostałości ścian zacieniając od słońca i ochraniając od wiatrów, tworzyły korzystny mikroklimat. Najczęściej zbieraliśmy jagody paślony. Roślina z gatunku psiankowatych miała owoce podobne do naszych czarnych jagód. W smaku jednak zupełnie im nie dorównywały. Nie lubiłam ich i mimo głodu trudno mi było zająć się nimi. W moim mniemaniu były mdłe, zbyt słodkie oraz wydzielaly zapach, którego nie znosiłam. Innym to jednak nie przeszkadzało i uważali paślony za prawdziwy rarytas. Mając odrobinę mąki można było z niego zrobić nawet pierogi. Zbieraliśmy też młode pędy lebiody, z których Mama gotował nam wodnistą zupę.

W 1944 roku nastąpił przełom w naszym życiu. Obydwie z Mamą dostałyśmy u małżeństwa Montegrassów stałą pracę. Doprawdy dziwne było to stadło. On rodowity Włoch, bardzo przystojny o urodzie południowca, inżynier, budowniczy statków. Ona Rosjanka, przedsiębiorcza i zaradna, też wykształcona. Mężczyzna na pewno był zesłańcem. O historii jego żony nic nie wiem. Przed zesłaniem Montegrass w Odessie konstruował okręty wojenne. Z bliżej nieznanym mi powodów w ramach stalinowskich czystek, zesłano go na Syberię. Prawdopodobnie w czasie wielkiego kryzysu, został zwerbowany przez działających na zachodzie bolszewickich agitatorów. Może był komunistą i ze względów ideowych przyjechał wznosić potęgę przemysłową sowieckiej Rosji.

W Kimie Montegrassowie urządzili się bardzo dobrze. Pracowali oboje, zajmowali chyba jakieś eksponowane stanowiska. Jak na tamte warunki żyli dostatnio. A nawet widywałam u nich pewne artykuły luksusowe takie jak: kakao i cukierki. Ale jedynie mogłam na nie popatrzeć, nigdy niczego z tych specjalów nawet nie spróbowałam.

Mama sprzątała, prała ręcznie na tarze, uprawiała mały ogródek, oraz wykonywała w obejściu różne prace fizyczne. Nigdy jednak nie przyrządzała posiłków. Po prostu nasi gospodarze byli niewiarygodnie skąpi i jedzenie zamykali na klucz.

Ja miałam za zadanie opiekować się kilkuletnią dziewczynką Irką. Była ona adoptowanym przez Montegrassów, polskim dzieckiem. Do obowiązków podeszłam z wielką starannością i odpowiedzialnością. Miałam przecież dziesięć lat, myślałam oraz działałam jak dorosła. Opieka nad dziewczynką nie należała do przyjemności. Bowiem Irka miała trudny charakter. Często bywała złośliwa, uparta i nieposłuszna. Moje działania pedagogiczne zazwyczaj odnosiły mizerne skutki. Zdarzało mi się często nieźle obezwierać, kiedyś nawet dostałam wałkiem po głowie. Irenka nie darowała nawet kotu. Ze szczególną przyjemnością, starała się dokuczyć temu zwierzęciu. Ale syberyjskie koty, to duże i silne zwierzęta niedające sobie zrobić krzywdy. Kot cierpliwie znosił dokuczanie, aż pewnego razu zaatakował. Skoczył dziewczynce na plecy i wpił się pazurami. Nie można go było w żaden sposób odczepić. Mama i ja walczyłyśmy z tym kotem przez dobrą chwilę, aż w końcu zdołałyśmy uwolnić dziecko. Kot dostał w skórę i czmychnął,

gdzie pieprz rośnie. Irce pozostały na plecach głębokie rany, oraz nauczka, żeby od kota trzymać się z daleka. Montegrassowie wykorzystywali nas bez żadnych skrępowań. Nie płacili nam zupełnie. Za wykonywaną pracę dostawałyśmy coś do jedzenia. Przeważnie było trochę łupin z malutkich ziemniaczków, oraz trochę otrąb. Rano po przyjeździe do pracy dostawałam cieniutką kromkę jasnego jak słońce chleba. Potem bochenek wędrował do oszklonej szafki, którą gospodyni zamykała na klucz. Przez cały dzień miałam ten chleb przed oczami. To była prawdziwa tortura. Tu widok wspaniałego bochna chleba, a tu kiszki marsza grają. Natomiast masło mogłam jeść dowoli. Ale ile można zjeść samego masła? Zaręczam, że niewiele, sprawdziłam to na sobie. Nad wieczór po powrocie do domu, mama piekła nam placki zastępujące chleb. Najpierw gotowała przyniesione łupiny, potem starannie je ugniatała i mieszała z otrębami. Z tak przygotowanej masy formowała zgrabne placuszki i piekła na blasze płyty. W smaku były one takie sobie, a nawet paskudne. Miały wyczuwalną goryczkę, bardzo ciemny kolor i dziwną lepłą konsystencję. Jednak posiadały tę zaletę, że zaspakajały głód. Inni mieli gorzej, bo nawet tego paskudnego jedzenia im brakowało. Uważam, że bohaterstwo naszej Mamy polegało w znacznej mierze na tym, że zawsze umiała zdobyć jakieś jedzenie i nie dała nam umrzeć z głodu. Wieczorami przy kopącym kaganku, monotonicznie zgrzytały żarna. Szczęśliwcy, którym udało się zdobyć garść zboża, z mazołem mielili je na mąkę. Potem z tej mąki pieczono grube placki, zwane pyszkami.

Pamiętam jedną Wielkanoc, kiedy Mama przyniosła dwa jajka i trochę ziemniaków. Usmażyła te ziemniaki dodając jajka. Mieliśmy wspaniałe śniadanie wielkanocne, które pamiętam do dziś. Te święta już zawsze miały smak jajecznicy z ziemniakami. Nie wiem jak to się dzieje, że pewne zdarzenia, na pozór błahe, tak trwale tkwią w naszej pamięci, a inne nie. Jeżeli jestem już przy jedzeniu, to muszę koniecznie opowiedzieć o bachezy. Bacheza to pole, na którym uprawia się arbuzy i melony, jedyne owoce dostępne w tamtej części Kazachstanu. Montegrassowie podarowali nam wąziutki pasek swojej bachezy. Byliśmy bogaczami, bo nikt z Polaków nie miał takiego skarbu. Mama starannie posadziła nasiona, umieszczając je pod płatami świeżo zaoranej darni. W środku lata doczekaliśmy się zbiorów. Co to była za frajda. Najpierw jechało się wozem ciągniętym przez woły, zazwyczaj na przyczepkę, bowiem plantacje były znacznie oddalone od Kimy. A potem, to już sama przyjemność. Obżeraliśmy się wspaniałym miąższem czerwonych i białych arbuzów, delektowaliśmy się kilkoma gatunkami melonów. Kto spróbował tamtych wspaniałości, nigdy nie zadowoli się, jakością sprzedawanych u nas tych owoców. Są one przeważnie bez smaku i mają się nijak do oryginału. Kiedy najedliśmy się do woli to myśleliśmy się, używając zamiast wody, której tam nie było, miąższu arbuzów. Rezultat takich pomysłów okazał się opłakany. Byliśmy z bratem oblepieni słodką mazią, do której, przylepiły się ziarenka pisaku, oraz kurz. Ale najedzeni

do syta i szczęśliwi. W zimie zaczęłam czytać po polsku. Dziwnym trafem dostałam, postrzępiony egzemplarz przedwojennego „Płomyczka”. Pochłaniałam jego treść z wypiekami na twarzy.

Tego ostatniego lata w Kimie miało miejsce pewne dziwne wydarzenie. Otóż przyszła do Mamy paczka z Teheranu. Były tam nowe męskie półbuty, niewielka ilość słodyczy oraz list. W liście nieznany nadawca prosił, aby wysłać potwierdzenie, że paczka doszła. Druga przesyłka przyszła bardzo prędko.

Zawartość jej, to trochę żywności, wiza irańska oraz instrukcja, jak z nią postępować. Mama przejęła się bardzo, myślała, że może wyrwie się z tego piekła. W związku z tym postępując zgodnie z instrukcją, udała się do NKWD. Tam funkcjonariusze bardzo się zdziwili, dosłownie osłupieli, sytuacja najwyraźniej ich przerosła. Trwało to tylko chwilę, bo oto nagle ogarnięci wściekłością, krzyczeli: skąd masz te papiery? Kto ci je przysłał? A może ty jesteś szpiegiem irańskim i chcesz uciec. Zaraz będziesz aresztowana i trafisz do gułagu. Mama przerażona zaczęła płakać prosząc, żeby ją wypuścili, bo ma małe dzieci. Zlitowali się, podarli wizę i kazali Mamie wynosić się. Tak zakończył się niefortunny epizod wizowy. Tajemnica wyjaśniła się dopiero po wojnie. Ojciec mój siedział w obozie jenieckim w Neuebrandenburgu. Tam sąsiedował z amerykańskimi jeńcami wojennymi. Dzieliła ich siatka oraz zasieki z drutu. Ojciec z Amerykanami miał liczne kontakty, reperował im zegarki, płacili mu papierosami, za które można było kupić coś do jedzenia. Wykorzystał również te znajomości do poszukiwania naszego miejsca pobytu. Amerykańscy jeńcy mieli więcej wolności od innych. Mogli dość swobodnie korespondować. W ten sposób podali nasze dane do Czerwonego Krzyża w Ameryce, a stamtąd po ustaleniu gdzie przebywamy, sprawa trafiła do Iranu.

Ostatnie lato w Kimie było szczególnie przykre. Takie jakieś zakurzone, brudne i gorące. Zatłoczone do granic możliwości mieszkanie, zaduch nie do zniesienia, ciągle swary i nieporozumienia, czyniły życie szczególnie trudnym. Byłam już starsza, rozumiałam więcej i miałam już dość takiego bytowania. Oczekiwałam na jakąś zmianę i zmiana nadeszła. Otrzymaliśmy wiadomość, jakoby niektórzy z nas zostaną przesiedleni na wyzwolone od Niemców tereny Ukrainy. Działo się to bardzo szybko. Najpierw gorączkowe sprawdzanie, czy jesteśmy na liście. Rozpacz tych, co zostają. Poszukiwanie jakiejś furmanki, żeby dojechać do odległej stacji. Wierzyliśmy, że wracamy do Polski. Jednak rzeczywistość okazała się okrutna. Kolejny chichot losu, przesiedlano jednak nas na Ukrainę. Wybrani zostali tylko ci, co mieli kogoś z rodziny w tworzącym się wojsku. Do stacji o nazwie, Dżaksy jechaliśmy długo. Zaprzężone do wozów woły posuwały się wolno i bez pośpiechu. Spędziliśmy kila nocy w stepie. Było już chłodno, gwałtownie nadchodziła krótka jesień. Wszyscy byli podenerwowani, niewiadomo było czy zdążymy, czy transport będzie czekał, czy też odjedzie bez nas. Nareszcie dotarli-

śmy na miejsce. Samotna stacyjka w ogromnej pustce stepu. Tory biegly hen, aż po horyzont i tam znikaly. O transporcie nikt nic nie wiedzial. Moze przyjedzie, a moze nie, zatem czekamy. Rozlozyliśmy się obozem wokół budynku stacyjnego i wypatrujemy, czy coś nadjeżdża. Tak koczowaliśmy cały tydzień, śpiąc pod gołym niebem. Ostatniej nocy przysypał nas pierwszy śnieg. Ale za to wreszcie, z porannej mgły, buchając kłębamii pary, wynurzyła się lokomotywa z wielką czerwoną gwiazdą na przedzie. Sunęła majestatycznie, ciągnąc długi rząd wagonów towarowych. Doczekaliśmy się wreszcie upragnionego transportu. Znane już nam bydłecze wagony, ale nastrój już inny, radosny. Przecież jechaliśmy bliżej Polski i nic nie było ważniejszego.

## Pani Karpaczowa

Drobna, siwiutka, zawsze zadbana, ze śladami dawnej wielkiej urody. Taką ją zapamiętałam na zawsze. Najczęściej nosiła szarą, długą suknię, dodającą jej dostojęstwa. Była osobą, jakby z innej epoki, nie pasowała do tamtego świata. Starannie uczesane srebrne włosy, tworzyły puszystą fryzurkę z koczkiem na czubku głowy. Takie uczesanie było modne na początku dwudziestego wieku. W tym czasie pani Karpaczowa była szczęśliwa, młoda, piękna i duszą pozostała w tej epoce. Nie chciała zaakceptować tragicznej rzeczywistości, a to pomagało jej przeżyć.

Piszę te wspomnienia głównie po to, aby ocalić od zapomnienia jej postać. Mam wobec tej pani wielki dług wdzięczności i chyba tylko ja o niej pamiętam. Pani Karpaczowa ukształtowała moją osobowość, jej to w głównej mierze zawdzięczam to, kim jestem. Nauczyła mnie dostrzegać piękno otaczającej przyrody, rozbudziła miłość do sztuki i literatury. Wpajała również zasady dobrego wychowania, oraz sprawiła, że byłam ciekawa wiedzy i lubiałam się uczyć.

Kim była pani Karpaczowa? Jakie okrutne losy rzuciły ją do tej ponurej kazachskiej miejsciny, jaką była Kima? Otóż, pani Karpaczowa, z domu Lubow Aleksiejewna Wietlickaja to rosyjska arystokratka. Jej babki i ciotki były damami dworu na dworze carskim. Ona skończyła Instytut Smolnyj, gdzie otrzymała solidne wykształcenie, jak i staranne wychowanie. Jej nienaganne maniery nie przystawały zupełnie do otaczającej siermiężnej rzeczywistości. Ale dla mnie stanowiły wzór do naśladowania. Danym jej było przeżyć piekło rewolucji 1917 roku. Bolszewicy wymordowali całą jej rodzinę. Na którymś z frontów wojny domowej straciła brata, w jaki sposób zginęli rodzice nie pamiętam. Sama pani Karpaczowa cudem uniknęła śmierci, bo w tym czasie przebywała u siostry w Odessie. Jednak i tam dopadł ją złowieszczy los. Z okien mieszkania widziała straszną śmierć swojego szwagra, będącego dowódcą portu wojennego. Po zdobyciu miasta, czerwoni wywlekli i ustawili na falochronie kilkudziesięciu carskich oficerów. Stali tak jak na paradzie, w swoich białych mundurach i blasku porannego słońca. Długa seria z karabinu maszynowego powaliła ich ciała do morza. Pani Karpaczowa, aby ocalić życie, musiała uciekać. Schronienie znalazła w Polsce, osiadła w Kowlu. Tam też szczęśliwie poślubiła Pana Karpacza z zawodu nauczyciela.. W małżeństwie tym znalazła miłość i ukojenie. Mogła już żyć spokojnie, jak też zapomnieć o przeżytych koszmarach. Wspólnie z mężem założyli i prowadzili z sukcesem, rosyjskie realne gimnazjum. Żyli szczęśliwie, wychowując syna Lolka. Drobili się też pięknego domu z ogrodem, jak też wspianiałej przyjaźni z sąsiadką Marią Iwanowną. Zły los jednak upomniał się znowu o panią Karpaczową. Owdowiała, straciła człowieka, który był dla



niej wszystkim. Równocześnie zaczęły się kłopoty z synem. Na studiach związał się on z komunistami. Stał się gorącym wyznawcą ich ideologii. Co za chichot historii. On spowinowacony z najlepszą arystokracją rosyjską związał się z tymi, którzy z zimną krwią wymordowali jego najbliższą rodzinę, ze strony matki. Rozpacz pani Karpaczowej nie miała granic. Z jednej strony miłość do ukochanego syna, z drugiej zaś desperacja i strach, jak potoczy się jego dalsze życie. A sytuacja rozwijała się dynamicznie. Za działalność wywrotową, w ramach bojówek komunistycznych, Lolek siedział nawet w sanacyjnym więzieniu. Po odbyciu wyroku nieco się opamiętał. Nawet się ożenił, wybranką tego ateisty, została koleżanka ze studiów, córka popa. Zderzyły się dwa różne światopoglądy. Ale to nie przeszkodziło stworzyć im szczęśliwego związku. I gdy zdawało się, że wszystko zaczęło się układać szczęśliwie, wybuchła wojna. Do Kowła weszli sowietci. Oczywiście Lolek, jako komunista został doceniony. Otrzymał znaczące stanowisko i wziął się na serio do budowy komunizmu. Nie napracował się długo. Na skutek intryg, oraz donosów został oskarżony i aresztowany przez NKWD. Praktycznie bez procesu został wywieziony do gułagu na Kołymie.

W niedługim czasie enkawudziści zastukali nocą do drzwi, żeby zabrać jego żonę na Sybir. Na panią Karpaczową nie mieli nakazu, mogła spokojnie zostać w domu. Jednak w tak tragicznej sytuacji, nie mogła i nie chciał opuścić synowej, zwłaszcza, że ta spodziewała się dziecka. Oświadczyła, zatem, że dobrowolnie wyjeżdża na Sybir, aby opiekować się synową. Dlatego, że nie była przeznaczona do wywózki pozwolono jej spokojnie spakować się, i zabrać nieco więcej rzeczy. W ten oto sposób pani Karpaczowa wraz z synową znalazła się w Kimie na Syberii. I właśnie tam rozegrał się ostatni akt tragedii. Młoda, piękna, wykształcona, oraz bardzo delikatna kobieta, jaką była synowa pani Karpaczowej, została zapędzona do ciężkiej pracy. Do pracy, która zdecydowanie przekraczała jej siły i możliwości. Bez względu na to, że była w ciąży kazano jej wozic wodę z Iszymu. Poganiała, więc parę wołów zaprzężonych do drabiniastego wozu, na którym znajdowała się wielka drewniana beczka. Następnie musiała wiadrem czerpać wodę z rzeki i napełniać tą beczkę. Spustoszenie, jakiego w jej organizmie dokonała ta mordercza praca, było ogromne. W strasznych męczarniach, bez żadnej pomocy lekarskiej, urodziła dziewczynkę. Sama jednak porodu nie przeżyła. Umarła pozostawiając niemowlę bezradnej i zrozpaczonej teściowej. Pani Karpaczowa dokonywała niemal cudów, żeby dostać odrobinę mleka dla dziecka. Nie mogła wymienić nawet posiadanych przez siebie rodowych klejnotów. W tamtej rzeczywistości nie miały one żadnej wartości, nikt ich nie chciał. Wnuczka żyła zaledwie sześć miesięcy, po czym również zmarła. Kiedy do Lolka przebywającego w gułagu, dotarła wiadomość o śmierci bliskich, załamał się i popełnił samobójstwo. Pani Karpaczowa utraciła wszystkich, została zupełnie sama. Jak teraz myślę o niej, to przypomina mi zastygłą w bólu postać z tragedii grec-

kiej. Zastanawiam się ile człowiek może znieść, jaką traumę może wytrzymać. Na przykładzie pani Karpaczowej można zobaczyć jak człowiek potrafi cierpieć, a jednak dalej żyć. Pamiętam jak budziłam się w nocy i widziałam rysującą się na tle okna jej sylwetkę, siedziała na swoim wielkim kufrze, o czym wtedy myślała nie wiem. Bezsenność dawała się jej porządnie we znaki. W dzień pani Karpaczowa była dosyć czynna, krzątała się przy kuchni. Najczęściej w małym garnuszku gotowała barszcz ukraiński, a potem ze smakiem go zajadała. Widzę jeszcze dziś ten bulgoczący ronderek, a w nim buraczki, kapusta i kilka strąków fasoli. Dziwne to, że tak wielu rzeczy nie pamiętam, a te zdawałoby się błahe, nic nieznaczące obrazy, tak głęboko utkwily w mojej pamięci. Jak choćby ten: oto pewnego bardzo mroźnego dnia przychodzi ze szkoły zmarznięty syn gospodyni. Ubrany jest lichy w jakiś krótki obszarpany szynel. Zwrócony twarzą do kąta rozciera skostniałe ręce i ukradkiem ociera łzy. Tak się złożyło, że akurat w tym miejscu na ścianie wisiał portret Stalina. Pani Karpaczowa siedząc jak zwykle na swoim kufrze, przyglądała się chłopcu bacznie przez jakiś czas, a potem wskazując na portret rzekła: wot somotri Wania, eto ubijca. Na to Iwan krzyczy: babuszka zamołczy, ja siejczas idu na NKWD. A idź sobie, idź, czym prędzej, ze stoickim spokojem, mówi pani Karpaczowa. Niech przyjdą i mnie zabiją, niech skończą moją męczarnię. Co oni mogą mi więcej zrobić? Zabili mi syna, zabili synową, zabili wnuczkę, niech zabiją i mnie. Ja nikogo już się nie boję. Nic gorszego już nie może mnie spotkać. Cierpienie mnie wyzwoliło. I rzeczywiście wysoko nosiła głowę, emanowała z niej jakaś arystokratyczna duma. Do tych, co ją krzywdzili żywiła ogromną pogardę. Nazywała, ich czerwoną hołotą. Stalina, jego zbrodniczy system, oprawców, którymi się posługiwał, szczerze nienawidziła. Nie ukrywała swoich poglądów, a co więcej wypowiadała je głośno i prowokacyjnie. Na owe czasy była to niebywała odwaga, ponieważ za byle co można było trafić do gułagu, można było również dostać na miejscu kulę w łeb. Jednak nic takiego się nie stało. NKWD najwidoczniej już się panią Karpaczową nie interesowało. Nadal mogła królować i z wysokości swojego kufra przenikliwie obserwować, co się wokół niej działo. Bo ani Karpaczowa i jej nieodłączny kufer, stanowili oddzielną enklawę w tym koszmarnym mieszkaniu, gdzie ciągle były jakieś kłótnie i wszyscy do wszystkich mieli o coś pretensje. Atmosfera stawała się gęsta i nieprzyjemna, czasami wdawało mi się, że zaraz się uduśzę. I wtedy mnie pani Karpaczowa wołała: Basia, Basia, chodź do mnie, bo właśnie w nocy coś sobie przypomniałam. Szybciutko biegłam i siadałam na stołeczku, słuchając z zachwytem snujących się opowieści. Przenosiłam do innego lepszego i piękniejszego świata. Ponura rzeczywistość przestawała istnieć.

Pani Karpaczowa chciała uczyć wszystkie wspólnie zamieszkujące dzieci. Jednak nic z tego nie wyszło, gdyż matki były obojętne, a dzieci jak to dzieci, po prostu nie chciały się uczyć. Wolały się włóczyć bez dozoru po okolicy i wyprawiać dzikie harce.

Nie wiem teraz, dlaczego to właśnie ja jedyna siadałam na wspomnianym już stołeczku, u stup pani Karpaczowej i słuchałam, słuchałam całymi godzinami jej opowieści. A ona roztaczała przede mną zaczarowany świat przedrewolucyjnej Rosji. Opowiadała mi o życiu dworskim, panujących tam obyczajach, spotkaniach towarzyskich, niewinnych flirtach, wspaniałych przyjęciach, balach do białego dnia i skrzących się śniegiem kuligach. W jej opowiadaniach, rozbawiony carski Petersburg zachwycał wspaniałą architekturą, wyszukanymi strojami dam, zdobnymi w piękne klejnoty. Jeżeli chodzi o klejnoty, to danym mi było zobaczyć biżuterię, jaką jeszcze miała pani Karpaczowa. W przyprawie dobrego nastroju wyciągała z przepastnego kufra dwa bardzo długie sznury pięknie szlifowanych, wielkich jak orzechy laskowe granatów. Do tego szeroka, z litego złota bransoleta, wysadzana również granatami. Była tam również diamentowa kolia, oraz kilka pierścionków z szafirami i diamentami. Specjalne miejsce w sercu pani Karpaczowej miała uszkodzona papierośnica, pamiątka po nieżyjącym bracie. Zaiste, to było prawdziwe dzieło sztuki. Wykonano ją ze skorupy żółwia. Z wierzchu inkrustowano białym, oraz złotym złotem, opalizująca macicą perłową i drobniutkimi brylancikami. Wzór na niej, to wijąca się dookoła gałązka winnego krzewu, pod nią we fraczku i figlarnym kapelusiku, malarz z pędzlem i sztalugą. Na dole połyskiwały brylancikami drobne kolorowe kwiatki. Wszystkie te precjoza miały niewątpliwie wielką wartość. Jednak w tamtych realiach nic nie znaczyły. Nikt nie chciał ich kupić, nie można ich było wymienić na jedzenie, nikogo nie obchodziło bogactwo, jakie stanowiły. Dla pani Karpaczowej miały specjalne znaczenie, były, bowiem widowym łącznikiem z dawnym dobrym życiem. Teraz, kiedy z perspektywy czasu myślę o tym, to sądzę, że pani Karpaczowa trochę idealizowała i koloryzowała swoje opowieści. Prawdopodobnie uciekanie w przeszłość pomagało jej żyć, oraz przetrwać to piekło, jakie zgotował jej okrutny los. Ja byłam zasłuchana zafascynowana i oczarowana odkrywałam, że może istnieć inny świat, którego nie znałam i nie przypuszczałam, że może istnieć. Przecież mnie kształtowała siermiężna głodna, chłodna i pełna strachu rzeczywistość. Byłam dzieckiem smutnym milczącym i zamkniętym, bez żadnej radości życia. Mama wiecznie zagoniona, za zdobyciem czegoś do jedzenia, zmęczona pracą ponad siły, zwykle nie miała czasu, aby specjalnie zajmować się nami. Dopiero pani Karpaczowa, jako jedyna, zaopiekował się mną, poświęcając dużo czasu mojej osobie. Uczyła mnie i wychowywała. Ja natomiast byłam niezmiernie zdziwiona, że ktoś może poświęcić tyle uwagi, takiej jak ja zahukanej, szarej myszce. Wiedza, jaką mi przekazywała była wielce niesystematyczna. Zależała od tego, co w czasie bezsennych nocy przypomniła sobie pani Karpaczowa. Przeważała tam wiedza z zakresu szkoły średniej, brakowało, natomiast podstaw. Uczyłam się literatury rosyjskiej, (poematy Puszkina jeszcze dziś potrafię recytować z pamięci), geografii, matematyki, historii sztuki, oraz fragmentów wiedzy z innych dziedzin.

Specjalne znaczenie miały lekcje dobrych manier. Dzięki nim dowiedziałam się jak panienka z dobrego domu powinna się zachowywać, jakie mieć morale, jakie wyznawać wartości, jak wysoko nosić głowę i mieć wyprostowaną sylwetkę, jednocześnie pozostając skromną. Uczyła mnie, co jest dobre, a co złe i jak odróżniać jedno od drugiego. Nasze wspólne relacje na zasadzie mistrz uczeń, może nie tylko mnie były potrzebne. Może pani Karpaczowa też czerpała z tego jakieś korzyści. Na pewno pozwalało jej to, na zabicie beznadziejnie wlokącego się czasu, na pozbycie się natrętnych złych myśli, na powroty do bogactwa, oraz przepychu tamtego minionego świata. W mojej pamięci pozostanie zawsze, jako osoba niezwykła, fascynująca, mająca w sobie tyle blasku, piękna i siły. Pragnę z całego serca w ten skromny sposób, ocalić tę piękną postać od zapomnienia.

## Ukraina

Ukrainę zastaliśmy smutną, jesienną, zapłakaną deszczem. Płaskie, ciągnące się, aż po horyzont bezkresne pola, były gdzie niedzie przecinane, przepastnymi jarami. Nieprzejezdne błotniste drogi z głębokimi koleinami, na których nogi zapadały się w glinie, aż po kostki. Ciężkie od ołowianych chmur niebo wisiało nisko nad horyzontem. Gdzie niedzie przycupnęły małe, malowane na błękitno chatki. Przy każdej niewielki ogródek, kilka owocowych drzewek, obowiązkowo wiśnie i morele, oraz kilka uli. Stanowiły one wyraźne urozmaicenie, tego ponurego i monotonnego krajobrazu. Widocznym też było, że niedawno przewaliła się tędy, niczym huragan, druga wojna światowa. Na tym terenie rozegrała się pancerna, wielka bitwa, która przeszła do historii pod nazwą bitwy na Łuku Kurskim. Pozostałością po niej były wraki czołgów. Dziesiątki, a może i setki czołgów zaryte całymi gąsienicami w rozmokłej glinie, nie mogąc z niej się wydostać, tkwiły tak nieruchomo, budząc w nas niepokój. Inną wojenną pamiątką, były miny. Wielkie połacie uprawnych pól, z niezbranymi plonami pszenicy i kukurydzy zostały całkowicie zaminowane.

Taką Ukrainę zobaczyliśmy jesienią 1944 roku. Następny przystanek na długiej drodze do Polski. Warunki bytowe poprawiły się nam na tyle, że mogliśmy w miarę egzystować. Dostaliśmy osobną, czystą izbę, Pobieloną wapnem. Gliniane podłogi, wyściełało się czystą słomą. Duży piec dawał ciepło, a płonący w nim ogień sprawiał, że mieszkanie stawało się przytulne. Skończył się wreszcie głód, mieliśmy już, co jeść. Z sowchozowej stołówki dostawaliśmy obiad, po który ja codziennie musiałam wędrować około trzech kilometrów do sąsiedniego chutoru. Droga, a właściwie ścieżka wiodła dnem głębokiego wąwozu. Musiałam kurczowo trzymać się tej ścieżki, nie wolno mi było, pod żadnym pozorem zboczyć ani o krok, bowiem po obu stronach tej dróżki, tkwiły w ziemi wszecze obecne miny. Ja jednak nie bałam się min, nie przemawiały one do mojej wyobraźni, pojęcie to na razie było zbyt abstrakcyjne, jednak do czasu. Bałam się zupełnie czegoś innego. Byłam świeżo po lekturze „Pana Wołodyjowskiego” Henryka Sienkiewicza, więc przychodziła mi na pamięć, cała mitologia tej powieści. Głęboki jar, którego ściany porastały gęste kolczaste chaszczce, stanowił doskonałe tło dla wytworów mojej wyobraźni. Bałam się okropnie, ale puszczałam wodze fantazji i myślałam, że oto na mojej drodze pojawią się wiedźmy, strzygi, jakieś utopce, oraz inne, wyjące dusze potępione. Aby dodać sobie animuszu pobrzękiwałam naczyniami, jakie niosłam. Była to okazała banka na zupę i miska na drugie danie. Jadłospis nie był urozmaicony, a raczej ciągle gotowano to samo. Zupy na zmianę kapuśniak z barszczem ukraińskim i na drugie kasza omaszczona skwarkami. Kasze różniły się tym, że raz to

była kasza, jęczmienna, innym razem jaglana, oraz rzadko tylko od święta gryczana. Zjawiałam się w kuchni, takie wystraszone i ubłocone nieszczęście, stałam grzecznie, czekając na jedzenie. Zazywne i błyszczą od potu kucharki, chyba mnie trochę lubiły, bo na mój widok, cieszyły się, wołając: wot nasza Wasia przisła! Pewnie z tego powodu dostawałam jakąś specjalną dokładkę do zupy, w postaci kawałka tłustego mięsa. Obiady, chociaż monotonne, był jednak smaczne, gospodynie ukraińskie słynęły z tego, że umiały dobrze gotować. Moje samotne wędrówki skończyły się w momencie, kiedy przeniesiono nas do tej wsi, gdzie była stołówka.

Na początku naszego pobytu dorośli chodzili na myszaki, potem kategorycznie zabroniono tego. Myszaki, to usypywane przez gryzonie kopce, w których gromadziły one zapasy na zimę. Było tego bardzo dużo. Najładniejsze kłosa pszenicy równo ucięte przy samej nasadzie, z wielką starannością ułożone były w równych rzędach i przykryte grubą warstwą ziemi. Wymłócone ziarno mieliło się na żarnach i z otrzymanej w ten sposób mąki, wypiekało się różne smakołyki. Najbardziej zapamiętałam wielkie pieczone w piecu pierogi. Nadzienie do nich, stanowiły starte na tarce cukrowe buraki i wspinałe suszone owoce: morele, wiśnie, śliwki i inne. Ach, jakie to było smaczne, chyba jeszcze dziś chętnie bym to zjadła. Mój braciszek zapamiętał coś innego tak zwane diwnie. Cóż to były diwnie? Starannie wykrawane w kształcie ptaków kawałki ciasta, następnie nadziewało się je na długi patyk i piekło w płomieniach pieca. Robiło się je nija-ko przy okazji, specjalnie dla dzieci. Biegały one potem z tymi kijami, udając, że ptaki latają, doskonale się przy tym bawiąc. Dzieci nie miały zabawek, więc musiały je same wymyślać.

Dość ciepła, ukraińska zima miała się ku końcowi i nieznacznie przechodziła w przedwiośnie. Słońce przygrzewało coraz mocniej, topniały resztki śniegów, rozmazała ziemia. Z pól spływały cienkie strumyczki wody, by połączyć się na drodze w rwącą strugę. Ta zaś z kolei spływając do jarów zamieniała je w spienione rzeki. Gdy nieco podeszło skończył się dla Polaków okres ochronny. Władze sowchozu zdecydowały, że czas już do pracy, bo w myśl wielokrotnie słyszanej i oklepanej zasady: „kto nie rabotajet, tot nie kuszajet, trzeba było na jedzenie zarobić. I tak pierwszy dzień w pracy dla niektórych, stał się ostatnim dniem życia. Na pierwszy ogień poszli młodzi ludzie, kazano im zbierać ubiegłoroczne plony. Weszli na zaminowane pole kukurydzy. Wybuchów było kilka. Byli zabici i ranni. Widziałam dziewczynę z rozszarpanymi nogami, włożono ją na brudną skrzynię ciężarówki i bez żadnej pomocy powieziono gdzieś do szpitala. Nie wiem, czy przeżyła. Do dziś zadaje sobie pytanie: „dlaczego tak się stało? Czy to był przypadek, czy premedytacja? Może ktoś się pomylił, a może zrobił to specjalnie? A może użyto Polaków, jako żywe tarcze do rozminowania pola. Odpowiedzi na te pytania nie ma. Mało kto wie i pamięta o tej zbrodni, prawdopodobnie wyciszono sprawę

i starannie ukryto. Ja jednak pamiętam to dobrze, przecież byłam już dużą dziewczynką, miałam całe jedenaście lat. Po tej tragedii nie pędzono już Polaków do pracy w polu. Ale nie dano już niczego do jedzenia, trzeba było je zdobywać własnym sumptem.

Walutą przetargową stało się zboże, za nie kupowało się inne produkty spożywcze. Na zdobycie tego zboża sposobów mieliśmy kilka. Wszystkie okazywały się, albo trudne, albo wręcz niebezpieczne. Pamiętam szczególnie jedyną, bo sama brałam w tym udział. Otóż w pewnej odległości za wioską magazynowano pszenicę. Wielkie hałdy tego ziarna leżały wprost na ziemi, pod gołym niebem i marnowały się. Padające deszcze powodowały, że mokre ziarno parowało, wytwarzając tak wysoką temperaturę, iż dochodziło do samozapłonu takiej hałdy. Nikomu jednak, pod karą więzienia, nie można było wziąć ani garstki tego zboża. W myśl stalinowskiej zasady możesz zdechnąć z głodu, patrząc jak się marnuje jedzenie, ale tego, co państwowe nie wolno ci ruszyć. Po prostu chodziło się nocami z workiem i kradło się pszenicę, ryzykując aresztowaniem. Jednego razu, ja też wybrałam się na taką eskapadę, ryzykowałam mniej niż moja Mama, ponieważ byłam dzieckiem. Kilka kobiet z workami, wśród nich ja, pod osłoną ciemnej nocy skradamy się do składowanego zboża. Już u celu, rozglądamy się, lokalizujemy stróża i po przeciwnej stronie zaczynamy zgarniać ziarno. Wtem krzyk, wiązanka wulgarnych przekleństw i nadbiega stróżująca kobieta z kijem. Moje towarzyszki rzuciły worki i w nogi, ja zostałam, skamieniała ze strachu nie mogłam się ruszyć. Wrzeszcząca kobieta przyjrzała mi się zdumiona i krzyczała przeplatając niecenzuralnymi słowami: a ty, co tu jeszcze robisz, wynoś się natychmiast i zabierz ten worek. Uciekałam ciągnąc po ziemi worek z kilkoma kilogramami pszenicy. Kiedy nieco się opamiętałam, dopiero spostrzegłam, że jest ciemna noc, że jestem sama na polnej drodze i że jest do domu daleko. Dowlokłam się wreszcie do celu przytaszczyłam z trudem może 10 kilogramów pszenicy. Byłam jedyną z tej wyprawy, której udało się powrócić z łupem. W najbliższą niedzielę Mama z częścią tego ziarna poszła na targ. Razem z innymi kobietami wstawiała nad ranem, jeszcze ciemną nocą i wyruszała do oddalonego kilkanaście kilometrów miasteczka. Tam wymieniała przyniesione zboże na przeróżne produkty. Były to zazwyczaj wspaniałe ukraińskie sery, gęsta śmietana, miód, suszone owoce, oraz białe chleb. Specjalnym rarytasem stały się pierożki z różnego rodzaju nadzieniem. Ja szczególnie uwielbiała te z suszonymi wiśniami. Nie mogąc doczekać się powrotu matek z targu, wychodziliśmy całą gromadą naprzeciwko. Te eskapady wspominam dobrze, należały one do rzadkich chwil radości mojego dzieciństwa. Pierwsza ukraińska wiosna przyszyła gwałtownie. Stopniały śniegi, jarami popłynęły burzliwe wody, na niebie jaśniało słońce, ogrzewając ziemię. Cała przyroda budziła się do życia. Pokryły się kwiatami drzewa owocowe i dziko porastające brzegi wąwozów gęste zarośla. Dookoła wszechobecna zieleń. Kwitły na biało tarniny głogi. Różowymi chmurkami kwiatów pokryły

się dzikie morele. Upojnie pachniały czeremchy, ich zapach unosił się wszędzie i przyprowadził o zawrót głowy. Czasami nawet był trujący. Nieco później zakwitły bzy, ich niebiesko fioletowe chmurki stanowiły uzupełnienie tego kwiatowego dywanu. Ptaki oszalały zupełnie, było ich mnóstwo, uwijały się jak w ukropie. Budowały gniazda i śpiewały, śpiewały bez końca. Ale najbardziej lubiłam wieczorami słuchać słowików. Nigdy już więcej takiego koncertu nie słyszałam. Na łąkach wyrosły wysokie bujne trawy, wśród nich miętodajne kwiatki, mieniły się wszystkimi kolorami tęczy, czerwone i białe koniczyzny, żółte mleczce, ogniste maki, niebieskie chabry, fioletowe dzwonki i wiele, wiele innych nieznanymi mi z nazwy roślin. Lubiałam ogromnie zaszywać się w tą pachnącą gąszcz i słuchać grania cykad, brzęczenia pracujących pszczół i obserwować krzątanie biedronek, gąsienic, oraz bajecznie kolorowych motyli. Potrafiłam tak ukryta w trawie, leżeć całymi godzinami. Byłam na owe czasy samotnikiem, nie lubiłam zabaw z dziećmi, wolałam stać na uboczu i przyglądać się z daleka. Chłopcy organizowali sobie zabawy we wrakach czołgów, uwięzionych głęboko w glinie na zboczu wzgórza. Ja nie lubiłam tam chodzić, bałam się tego żelastwa, po prostu żywiłam do tego niechęć. Trzeba jednak przyznać, że wycieczki do czołgów, dostarczały pewnych korzyści. Można było tam coś wyzabrować. Na przykład, z czarnej, gąbczastej i bardzo twardej gumy, wycinało się różnej wielkości piłeczki, które doskonale się odbijały od ściany.

Tej pięknej wiosny 1945 roku, nastąpił koniec wojny. Ludzie jakby obudzili się z wojennego letargu, stali się radośni, z nadzieją zaczęli patrzeć w przyszłość. Niecierpliwie oczekiwali rychłego powrotu swoich bliskich z frontu. A ci nie zasypiali gruszek w popiele i rabowali w Niemczech, co się dało. Przychodziły olbrzymie paczki z wszelakim dobrem. Szczególnie pamiętam jedną z nich. Była tam wielka kurtyna z jakiegoś teatru, z pięknego kremowego rypsu w złoto zielono brązowe kwiaty. Mama miała, co robić. Z tego materiału uszyła sukienki dla połowy wioski. Szczęśliwi posiadacze tego skarbu, sprzedawali go na lewo i prawo miejscowym strojnisiom. Mama nie tylko szyła, ale i projektowała rozmaite fasony. Liczne klientki, były zachwycone, bo nigdy przedtem nie było im dane noszenie tak eleganckich rzeczy. Bowiem odwiecznym ich przyodziewkiem, była szeroka, marszczona spódnica, bezkształtna bluzka, a na głowie chustka, rozmaicie wiązana. Ta ostatnia stanowiła, zmieniającą się ozdobę stroju.

Jeżeli chodzi o nas, Polakach przewiezionych na Ukrainę, zdawało się, że naszym losem nie interesuje się nikt. Zapomnieli o nas i Bóg i ludzie, ale to nie była prawda. Pamiętał o nas Związek Patriotów Polskich. Niebawem zjawił się ich wysłaniec i zaczął agitować. Wygłaszał płomienne przemówienia o tym jak wielkim przyjacielem dla nas jest Związek Radziecki, ile mu zawdzięczamy i tak dalej i tak dalej. Dlatego więc powinniśmy masowo wstępować do związku. Obiecywał rychłą pomoc materialną, ale o powrocie do Polski, ani słowa. Ludzie jak to ludzie, jedni ulegli sowieckiej, zakłama-



nej propagandzie i zapisali się, inni zaś, do których należała moja Mama, odrzucili tą propozycję z oburzeniem i wstrętem. Po latach, kiedy dorosłam i rozumiałam wiele rzeczy, byłam bardzo dumna z postawy mojej Mamy. Tymczasem agitator, zebrawszy sporą gromadkę nowych patriotów, postanowił wybrać tak zwanego męża zaufania. Nie miał jednak chętnych. W końcu jednak zgłosiła się kobieta, która ani z wyglądu, ani z charakteru, nie budziła żadnego zaufania, mimo to została mężem zaufania. Mogłam obserwować jej poczynania, ponieważ mieszkała w sąsiedniej izbie. Przywiozła obiecana pomoc, worek cukru, worek mąki i kilka baniek oleju. Oczywiście dostawali tylko ci, co zapisali się do Związku Patriotów. Większość z tych produktów owa pani zwyczajnie przywłaszczyła sobie. Ludziom odmierzała cukier i mąkę miarką zrobioną z małej puszki, po konserwie. Po jednej miarce na osobę. Sama zaś, wspólnie z synkiem objadali się obrzydliwie. Obserwowałam, jak topniała zawartość worków. My z bratem w żaden sposób nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego inne dzieci jedzą chleb posypany cukrem, a my nie. Przecież nie pamiętaliśmy już jak smakuje cukier.

Lato było w pełni. Ukraińskie bogate lato, pachnące miodem i owocami. Tylko Polacy nie mieli powodów do radości, byli już zmęczeni ciągłym oczekiwaniem na powrót do kraju. Wkradały się wątpliwości, a może zostaniemy już tu na zawsze? Dla mnie to lato stało się największym koszmarem mojego życia, a wszystko zaczęło się za sprawą małego ptaszka zwanego przez miejscową ludność syczem. Sycz, to mała sówka, szara i niepozorna o bardzo donośnym i nieprzyjemnym głosie. Właśnie owego głosu bali się miejscowi, twierdzili, że krzyk tego ptaka zwiastuje nieszczęście, a nawet śmierć. Ptaszek pohukiwał: pokuwał, pokuwał, co ludzie odczytywali, jako pochował. Ja nasłuchiwałam się różnych opowieści i chociaż nigdy dotąd, nie widziałam i nie słyszała tej sowy, to zabobonnie się jej lękałam. Do czasu, bo jakoś późnym letnim, popołudniem sycz usiadł na brzoskwini tuż za oknem, przy którym sypiałam i zaczął swój koncert. Nie wiem, czy to zwykły zbieg okoliczności, czy było coś na rzeczy, bo stało się nieszczęście. Ciężko zachorowała nasza Mama. Zaczęła stopniowo oddalać się od nas. Zamknęła się w sobie, zupełnie przestała interesować się nami, słowem załamała się psychicznie. W niezamieszkałej przechodniej izbie całymi nocami przesiadywała na parapecie i przez okno wpatrywała się w ciemność. Zupełnie nie spała. Ja podświadomie czułam, że dzieje się coś złego, nie odstępowałam Mamy na krok. Siedziałam na progu, lub wprost na podłodze i przez mrok wpatrywałam się w rysująca się na tle okna nieruchomą sylwetkę Matki. Byłam czujna i gotowa do reagowania w każdej chwili. Prawdopodobnie tak wielkie napięcie i stres nie pozwalały mi zasnąć. Nie przypominam sobie, żeby ktoś wyciągnął do nas pomocną dłoń, nie usłyszałam od nikogo słowa otuchy i choćby najmniejszego zainteresowania. Kiedy Mama przestała jeść i zupełnie osłabła, pomoc przyszła ze strony kierownictwa sowchozu. Zabrano ją do szpitala. Pamiętam jak

staliśmy z bratem na polnej drodze, jak zwykle trzymając się za ręce, wpatrując się w oddalającą się w tumanach kurzu furmanką. Zostaliśmy sami. I tu kończy się moja pamięć. Z tego czasu nie pamiętam nic. W mojej pamięci powstała czarna dziura. Co w tym czasie działo się z nami, mogę się tylko domyślać. Zapewne, któraś z litościwych, ukraińskich sąsiadek dawała nam miskę zupy i kromkę chleba.

Na pewno opiekowałam się bratem i wspólnie wypatrywaliśmy powrotu Mamy. Ale to wszystko domysły, pewności nie ma. Po miesiącu wróciła, spokojna w lepszym zdrowiu i zajęła się nami. Życie jakby się unormowało, ale nigdy nie było już takie jak przedtem. Ślad pozostał na zawsze. Od tego czasu towarzyszyło mi uczucie ciągłego zagrożenia. Mama znowu szła na pożyczonej maszynie, zarabiając w ten sposób na jedzenie. Często chodziła do sąsiednich wiosek, dostarczała już gotowe ubrania i przyjmowała zamówienia na nowe. Za wykonaną pracę zapłatę dostawała w naturze, w postaci żywności. Nie głodowaliśmy już nigdy. Kiedyś, a było to w końcu lutego 1946 r., Mama jak zwykle wybrała się na obchód kilku chutorów, a w tym czasie, jak grom z jasnego nieba gruchnęła wiadomość: jedziemy do Polski! Wpadłam w panikę, Mamy nie ma w domu, wszyscy się pakują, a my możemy nie zdążyć. Zaczęłam biec na jej spotkanie. Zadyszana, nie mogłam złapać powietrza, nogi odmawiały mi posłuszeństwa, uginając się w kolanach. W połowie drogi spotkałyśmy się i już w radosnych nastrojach biegłyśmy jak na skrzydłach do domu. Zdążyłyśmy.

Wreszcie wracamy do domu. Oprócz radości i ogromnego szczęścia nie czuliśmy już niczego więcej. W jednej chwili zniknęła cała trauma tamtych czasów. Po prostu jedziemy do Polski i nic się więcej nie liczyło.

